



RAPORT O DIECEZJI

przygotowany przez
Grupę Władza w Kościele
w ramach prac Kongresu
Katoliczek i Katolików

Niniejszy tekst stanowi kontynuację *Raportu o parafii*, który zawiera spostrzeżenia istotne również dla rozważań dotyczących życia diecezji. Przede wszystkim swoją wagę zachowuje centralne zagadnienie poprzedniego raportu, czyli podmiotowość wiernego świeckiego jako podstawa myślenia o nowej wizji Kościoła. Ponadto wynikające z niego postulaty, aby przyniosły spodziewane rezultaty na poziomie parafii, domagają się analogicznego dopełnienia na szczeblu diecezjalnym. (...) Podstawowym celem niniejszego raportu jest identyfikacja wewnątrzkościelnych mechanizmów oddalających wspólnotę od wymagań Ewangelii oraz wskazanie propozycji ułatwiających jej odzyskanie wrażliwości na głos Ducha Świętego.



Kongres
Katoliczek
i Katolików

SPIS TREŚCI

3	Część I. Kościół przemocowy
3	Zachęta Jezusa
4	Pokusa pasterza
6	Pokusa stada
9	Klerykalizm systemu
10	Arbitralność wizji Kościoła
11	Pozorna służebność
15	Faktyczna przemoc
18	Część II. Kościół synodalny
18	Prawdziwa służba
19	Zdesakralizowany biskup
20	Doceniony świecki
21	Zasada konsensusu
24	Biskup jednoczy wspólnotę
27	Diecezja po nowemu
28	Nowy język
32	Rozeznawanie
34	Zaprosić Boga do Kościoła
36	Część III. Postulaty

Niniejszy tekst stanowi kontynuację *Raportu o parafii*, który zawiera spostrzeżenia istotne również dla rozważań dotyczących życia diecezji. Przede wszystkim swoją ważność zachowuje centralne zagadnienie poprzedniego raportu, czyli podmiotowość wiernego świeckiego jako podstawa myślenia o nowej wizji Kościoła. Ponadto wynikające z niego postulaty, aby przyniosły spodziewane rezultaty na poziomie parafii, domagają się analogicznego dopełnienia na szczeblu diecezjalnym. W celu uniknięcia niepotrzebnych powtórzeń założenia te, choć w istotny sposób kształtują treść *Raportu o diecezji*, zostały w nim przyjęte jedynie domyślnie. Należy również na wstępie zauważyć, że wiele uwag obecnego raportu odnosi się równocześnie do sposobu funkcjonowania diecezji, jak i Kościoła jako całości (i tak należy go odczytywać), ponieważ poruszane tu zagadnienia są wspólne dla Eklezji w jej wymiarze lokalnym i powszechnym. Podstawowym celem niniejszego raportu jest identyfikacja wewnętrzkościelnych mechanizmów oddalających wspólnotę od wymagań Ewangelii oraz wskazanie propozycji ułatwiających jej odzyskanie wrażliwości na głos Ducha Świętego.

CZĘŚĆ I. KOŚCIÓŁ PRZEMOCOWY

Zachęta Jezusa

Wiecie, że ci, którzy uchodzą za władców narodów, uciskają je, a ich wielcy dają im odczuć swą władzę. Nie tak będzie między wami. Lecz kto by między wami chciał się stać wielkim, niech będzie sługą waszym. A kto by chciał być pierwszym między wami, niech będzie niewolnikiem wszystkich.

Mk 10,42–44

1 Ten konstytutywny dla sposobu funkcjonowania każdej chrześcijańskiej wspólnoty tekst, choć pozbawiony szczegółowych wytycznych i w dużym stopniu metaforyczny, nie pozostawia wątpliwości, że Jezus nie miał intencji pozostawienia po sobie jakiejś anarchizującej, amorficznej i bezwładnej społeczności. Nie poleca zrezygnować z pojęcia władzy, lecz proponuje jej zredefiniowanie. Nie unieważnia przecież konieczności podejmowania decyzji (władza ustawodawcza), wykonywania na jej podstawie określonych działań (władza wykonawcza) oraz dokonywania oceny ich zgodności z przyjętymi założeniami (władza sądownicza). Pozostawia za to swoim uczniom wypełnienie treścią nakazu sformułowanego w typowy dla siebie, paradoksalny sposób.

2 Próbuje zrekonstruować oryginalną, pozbawioną sentencjonalnego charakteru, powyższą myśl Jezusa, nie podając jednocześnie w wątpliwość autentyczności Jego słów zapisanych w Ewangelii, nie włączając się w naukowy dyskurs biblijny ani nie porywając się na stworzenie kolejnego komentarza do tej perykopy, można jednak pokusić się o wyrażenie jej we współczesnym, rzeczowym i potocznym języku. Z pewnością zatem Zbawiciel powiedział swoim uczniom, że – para-

frazując – ich **wspólnota będzie pozbawiona przemocy, oparta na relacji miłości i będzie polegała na realizacji potrzeb jej członków**. Można też wobec tego dodać logiczną konsekwencję, że w takiej wspólnocie **władza wyrzeka się stosowania przymusu, odmawia sobie przywilejów, wyjątkowego traktowania i postawy dominacji, a sposobami jej sprawowania stają się empatia, wysłuchanie i gotowość do stosownego, zgodnego z otrzymanym komunikatem działania**.

3 Tak zarysowany program stał się na przestrzeni wieków wyzwaniem dla kolejnych pokoleń chrześcijan, którzy z różnym skutkiem sobie z nim radzili, tak w przestrzeni instytucjonalnej, jak i osobistej. Niniejszy raport nie stawia sobie jednak ambicji prześledzenia wszystkich meandrow myśli eklesjalnej, lecz ich efektu w postaci współczesnej samoświadomości Kościoła w zakresie relacji wewnętrzno-wspólnotowych. Dlatego przedmiotem analizy uczyniono Konstytucję dogmatyczną o Kościele *Lumen gentium* oraz Kodeks prawa kanonicznego (dalej: KPK), jako najbardziej fundamentalne z obowiązujących w tej dziedzinie dokumentów. Postawionym zadaniem jest ocena, na ile obecna struktura władzy w Kościele (na przykładzie reguł panujących w diecezjach) realizuje wyżej wskazany postulat Jezusa.

Pokusa pasterza

Biskupi kierują powierzonymi sobie poszczególnymi Kościołami jako zastępcy i legaci Chrystusa radami, zachętami i przykładami, ale także mocą swego autorytetu i władzy świętej, z której jednak korzystają tylko dla zbudowania trzody swojej w prawdzie i świętości, pamiętając o tym, że kto jest większy, ma być jako mniejszy, a przełożony jako usługujący.

Lumen gentium, p. 27

4 Trudno o lepszy przykład sytuacji, w której ewangeliczne wymagania z kretelem przegrywają z koncepcją ładu społecznego zaczerpniętą wprost ze starożytnej tradycji politycznej, przy czym tylko pozornie, deklaratywnie i fałszywie nad nią triumfując. Oto bowiem mamy do czynienia z diecezją ukształtowaną na wzór rzymskiej prowincji lub średniowiecznego księstwa, którym niepodzielnie rządzi biskup na podobieństwo legata/księcia (te tropy historyczne są aż nadto widoczne w samej nomenklaturze kościelnej, w tym w pochodzeniu słowa „ksiądz”), czyli na podstawie autorytetu rozumianego jurystycznie, a więc pochodzącego z pełnionego urzędu, a nie z przymiotów osobistych, oraz władzy o boskiej, nadprzyrodzonej proveniencji.

5 Na taki świecki model rządzenia nakłada się więc też swoista – problematyczna, najdelikatniej mówiąc – teologia urzędu i władzy biskupa. W jej ujęciu, nieco tylko upraszczając, ordynariusz diecezji jest pełnomocnym przedstawicielem Chrystusa, z namaszczenia i w imieniu którego oraz korzystając z jego autorytetu, jednoosobowo zarządza lokalną wspólnotą. Rozumiejąc całą tradycję subtelnej namysłu Kościoła, która doprowadziła do rozwoju takiej koncepcji, nie można przejść obojętnym nad przejmującą rozbieżnością pomiędzy kościelnym

statusem biskupa a rolą, jaką przypisał mu – w osobach apostołów – sam Chrystus, czyli Jego uczeń i naśladowcy oraz opiekuna wspólnoty. Jakim prawem eklezjologia zastąpiła ideę biskupa jako „sługi” i „niewolnika” wizją „legata” sprawującego „władzę świętą”? Dlaczego taka sakralizacja władzy całkowicie ignoruje oczywisty fakt, że wyboru biskupa dokonuje omylny człowiek (wierzymy co prawda, że papież ma do dyspozycji asystencję Ducha Świętego, ale nie jest dogmatem, że z niej korzysta). Czy nie mamy tu do czynienia z zawoalowanym, świętokradczym ubóstwieniem? Czym ta wizja różni się od ustroju społecznego typu monarchicznego, w którym władca był „pomazańcem Bożym”, a mandat do sprawowania władzy pochodził „z Bożej łaski”?

6 Kościół oczywiście taki problem zauważa i próbuje się z nim mierzyć przez odniesienie do Ewangelii. Trudno jednak nie mieć wrażenia, że w dużej mierze taki zabieg jest sztuczny, powierzchowny i czyniony „na siłę”. Co prawda władza rządzenia należy do biskupa, ale rządzi w pierwszej kolejności „radami, zachętami i przykładami”, choć kieruje sprawami autorytarnie, to z autorytetu korzysta wyłącznie dla „zbudowania trzody swojej w prawdzie i świętości”, wprawdzie jest najważniejszy i bezwzględnie dominuje, to ma pamiętać, że „kto jest większy, ma być jako mniejszy, a przełożony jako usługujący”. Na pozór mamy tu do czynienia z zarysem idealnej, chrześcijańskiej wspólnoty, dobrotliwie i mądrze kierowanej przez świętobliwego kapłana. W istocie jednak zapis ten konstytuuje jednocześnie twardy, bezwzględny system wszechwładzy z tendencją do wynaturzeń w kierunku zachowań totalitarnych.

7 Ten ostatni aspekt odsłania się w zderzeniu tej pięknej wizji z rzeczywistością. Przecież we wspomnianej koncepcji prezbiterzy danej diecezji nie mogą wypowiedzieć posłuszeństwa biskupowi, który nie rządzi „radami, zachętami i przykładami”, ale poleceniami i arbitralnymi żądaniami. Wierni nie mogą bronić się przed władzą biskupa, który korzysta z niej nie „dla zbudowania trzody swojej w prawdzie i świętości”, lecz dla własnych interesów lub z niejasnych powodów. Zwykły diecezjanin nie ma żadnych szans w starciu z władzą biskupa, który nie pamięta, że „kto jest większy, ma być jako mniejszy, a przełożony jako usługujący”, gdy ten chowa się za kurialistami, zasłania brakiem czasu lub po prostu nie odpowiada na pisma, apele czy prośby. Stojący na czele lokalnego Kościoła może więc jawnie ignorować wskazania Zbawiciela, a jego władza będzie nadal trwać, a nawet (paradoksalnie) się umacniać. W tym kontekście słowa Chrystusa przywoływane w komentowanym tekście *Lumen gentium* nie tylko nie stanowią osłony przed nadużyciami, nie jawią się choćby jako górnołotny ideał, nie są nawet pobożnym ozdobnikiem, ale stają się – w praktyce – prawdziwą pułapką.

8 Alarmujący wniosek jest bowiem taki, że w **codziennym życiu zakres i siła władzy biskupa w żadnym stopniu nie stają tym większe, im ordynariusz bardziej upodabnia się do Jezusa, a można wręcz powiedzieć, że rosną wraz z oddalaniem się od wymagań Ewangelii**. Wydaje się, że jest nawet gorzej. Obowiązujący system, pozbawiony bezpiecznika w postaci niezależnej od biskupa kontroli

jego poczynają, wprost prowokuje go do zachowań niestosownych, ale fałszywie uzasadnianych religijnie. Ordynariusza, zgodnie z uniwersalną zasadą sformułowaną przez Lorda Actona, deprawuje nadany mu nadprzyrodzony status, nawet jeśli objawia się tylko poczuciem własnej wyjątkowości. Oznacza on realną i bezkarną możliwość ignorowania wszelkich ostrzeżeń, przejawów niezadowolenia i opinii niezgodnych z jego poglądami, lokując – to kluczowe dla zrozumienia potęgi zagrożenia – swoją odpowiedzialność w zaświatach. Mało kto potrafi się temu oprzeć.

Pokusa stada

Ludzie świeccy, tak jak wszyscy wierni Chrystusa, winni z chrześcijańskim posłuszeństwem stosować się ochoczo do tego, co postanawiają święci pasterze, reprezentujący Chrystusa jako nauczyciele i kierownicy w Kościele.

Lumen gentium, p. 37

9 Okazuje się, że tak skonstruowany system kusi także drugą stronę relacji władzy, czyli wiernych świeckich. Oto bowiem mamy taką sytuację, gdzie – rzekomo z ustanowienia Boskiego – istnieje niewielki zespół decydentów, który posiada przywilej autorytatywnego rozstrzygania o tym, co należy myśleć (władza nauczania), jakie warunki należy spełnić, aby czuć się pełnoprawnym członkiem wspólnoty (władza uświęcania czy sprawowania sakramentów i czuwanie nad dyscypliną ich udzielania), oraz co należy czynić (władza kierowania). Osoba nienależąca do tej elity, zasadnie nazywanej arystokracją ze względu na brak odpowiedzialności przed poddanymi jej władzy, ale sprawującej swoje rządy wedle – *de facto* – własnego uznania, ma wobec tego do wyboru dwie postawy: a) krytyczną, w ramach której z uwagą wsłuchuje się w głos biskupa, ale ostateczną decyzję co do pójścia za nim podejmuje na podstawie osobistego rozsądku sprawy, ryzykując – w razie różnicy zdań – dyskomfort, konflikt, a nawet wykluczenie; b) oportunistyczną, kiedy poddaje się, bezrefleksyjnie lub bez względu na własne osądy, postanowieniom ordynariusza. Doświadczenie życiowe nie pozostawia wątpliwości, która dominuje wśród wierzących.

10 Wydaje się, że możliwa jest – i najwyraźniej tę mają na myśli starsi Kościoła – trzecia droga, którą zwykle nazywa się pokorą. Ma ona polegać na przyjęciu postawy „chrześcijańskiego posłuszeństwa”, które niestety nie jest bliżej zdefiniowane, ale okazuje się realizować w „ochoczym” lub „wdzięcznym” (Dekret Soboru Watykańskiego II o pasterskich zadaniach biskupów w Kościele *Christus dominus*, p. 16) podążaniu za biskupem, który, zakłada się, zasługuje na miano „świętego pasterza”, rozumiejąc, że tutaj nie tyle chodzi o świętość osobistą, co asystencję Ducha Świętego, której jednak skuteczności nie można rozpatrywać w oderwaniu od tego pierwszego. A co jeśli okaże się, że biskup nie zasługuje na autorytet, że nie kieruje się darami Ducha Świętego? Otóż biskupie homilie, księżowskie kazania, łamy diecezjalnych czasopism i półki katolickich księgarni wypełniają się

przykładami wielkich świętych, którzy ewidentnie krzywdzeni, niesprawiedliwie traktowani, a nawet prześladowani przez swoich zwierzchników podporządkowywali się ich postanowieniom. A zatem wzorcem moralnym (heroicznym modelem „chrześcijańskiego posłuszeństwa”) nie jest wierność własnemu sumieniu. Zresztą trzeba dopowiedzieć, że idei prymatu sumienia towarzyszy uzupełniająca, ale w zasadzie unieważniająca ją koncepcja „prawidłowo ukształtowanego” sumienia, które – kreowane przecież przez Kościół – sprowadza się do uwewnętrznionej teologii moralnej. W uproszczeniu można powiedzieć, że w przypadku konfliktu z nauczaniem Kościoła (biskupów) chrześcijanin ma prawo posługiwać się sumieniem, pod warunkiem że przyjmuje normy zgodne z tym nauczaniem. Kwadratura koła.

11 Jak wyglądają tak rozumiana pokora i tak ukształtowane posłuszeństwo, gdy biskupi nie zachowują się w każdym przypadku jak „święci pasterze”, czyli – z całym szacunkiem, ale realistycznie oceniając – w sytuacji najpowszechniejszej? Poza nieliczną grupą zaufanych, ale uczciwie dzielących poglądy, doceniających postawę i rozumiejących decyzje biskupa (zarówno te mające uzasadnienie w nauczaniu Kościoła, jak i będące jego osobistymi przekonaniem) oraz równie niewielką grupą diecezjalnych outsiderów jawnie okazujących sprzeciw wobec określonych słów i poczynań ordynariusza istnieje milcząca większość, która nie tyle jest posłuszna i kieruje się pokorą, co z innych powodów nie buntuje się. Nikt chyba nie żyje w przeświadczeniu, że większość wierzących liczy się z biskupem z tego powodu, że ten jawi się jej jako wzór cnót wszelakich, mistrz nauczania czy uzdolniony menadżer.

12 **Najpopularniejszą, bo najłatwiejszą, postawą udającą pokorę jest bierność**, która wynika jednak z racjonalnego spostrzeżenia, że nie ma się żadnego wpływu na to, co dzieje się w diecezji, nie ma możliwości nawiązania realnego dialogu z jej ordynariuszem, a nawet widzi się jego brak zainteresowania poznaniem tego, co myślą, czym żyją i kim są jego diecezjanie. W takim stanie rzeczy biskupa traktuje się jak pogodę, na którą jedyną sensowną reakcją jest dostosowanie się. To dlatego wierni narzekają, ale tylko między sobą, na karteczki do bierzmowania, infantylizm katechetów i cynizm proboszczów (czemu symetrycznie towarzyszy brak zaufania biskupa do swoich wiernych, jego publiczne pomstowanie na wypisywanie się z katechezy i wieczne utyskiwanie na brak życia parafialnego), a duchowni szemrają po jego decyzjach, plotkują o jego słabościach i żalą się w swoim gronie na kolejne pomysły kurii (i znów, analogicznie, biskup zaskakuje swoich księży dekretami, tworzy dworski dystans i ukrywa się przed nimi za plecami swoich urzędników). **W efekcie wszystkie postanowienia ordynariusza są wykonywane, ale bez entuzjazmu, mechanicznie, bezowocnie.** Nic zatem dziwnego, że w diecezji składającej się przede wszystkim z niezadowolonych, rozczarowanych i zniechęconych panuje ogólny marazm, sprawy toczą się siłą bezwładu, parafie się wyludniają, a seminaria świecą pustkami.

13 **Inna część (bardziej duchowni niż świeccy) wybiera postawę arbitra.** Polega ona przede wszystkim na ocenie, których z chybionych – w opinii danej

osoby – poleceń, nauk czy poglądów biskupa nie można lub nie opłaca się zignorować ze względu na strach przed utratą korzyści albo przed przykrymi konsekwencjami, a które bez większego ryzyka można zlekceważyć, a nawet sabotować. I tak, znając osobowość, priorytety i zasięg władzy ordynariusza, świecki wie, że nie ma szans w starciu z proboszczem będącym ulubieńcem jego przełożonego, ale spokojnie może odmówić finansowania jakiejś inwestycji diecezjalnej, a nawet – z czystej złośliwości – wesprzeć konkurencyjne wobec wysiłków biskupa przedsięwzięcie. Z kolei duchowny nie ma możliwości przeciwdziałania „zesłaniu na trudną parafię”, nie może też bezkarnie odmówić przekazania zarządzanej kwoty na wybrane przez biskupa cele, ale – w zależności od okoliczności – może, byle bez ostentacji, rezygnować z jakiejś części nauczania biskupa we własnym duszpasterstwie, pomijać niektóre zarządzenia kurialne lub symulować wykonanie innych. Paleta opcji pozorowania jedności z biskupem jest nieskończona.

14 **Trzecim podejściem, najmniej licznym, ale najgroźniejszym, bo wybieranym przede wszystkim przez pragnących zyskać władzę duchownych, jest czysty koniunkturalizm.** To oczywiste, że system kościelnych „awansów” nie zależy w pierwszym rzędzie od osobistej świętości kandydata na urzędy, lecz jego lojalności wobec przełożonych. Tę z kolei najskuteczniej się zdobywa, zawsze i wszędzie zgadzając się z własnym biskupem, gotowością wypełnienia wszystkich jego poleceń, gorliwością propagowania bliskich sercu biskupa inicjatyw, ale także – niestety – wskazywania tych, którzy nie zachowują oczekiwanej przez ordynariusza postawy. Świecki, jako mniej zależny, może przyjąć taką strategię co najwyżej w przypadku obawy o utratę posady katechety, etatu w diecezjalnym tygodniku lub lukratywnego kontraktu na budowę, więc jej toksyczny charakter ma ograniczone oddziaływanie. Natomiast duchowny może uczynić z niej podstawę swojego funkcjonowania w Kościele, warunek pomyślności, sposób na życie i pomysł na karierę. Co więcej, w miarę poszerzania swoich wpływów staje się ważny dla większej liczby osób i odciska coraz wyraźniejsze piętno na życiu diecezji. Następuje sprzężenie zwrotne, a cynizm popłaca.

15 A zatem **to, co biskupi postrzegają lub – lepiej powiedzieć – wolą postrzegać jako oczekiwane przez Kościół posłuszeństwo, okazuje się najczęściej obojętnością, symulacją lub hipokryzją.** Błędem byłoby jednak widzieć w tym tylko ułomną naturę człowieka, rozgrzeszając się wskazaniem, że wyżej wymienione postawy można spotkać w każdej organizacji. Zasadnicza różnica polega na tym, że wewnętrzne polityki tych instytucji, przynajmniej deklaratywnie, premiuje samodzielność, kreatywność i podmiotowość pracownika oraz wzmacniają mechanizmy kontrolne, wprowadzają programy antymobbingowe i posiadają przejrzystą ścieżkę awansu, które mają mitygować przełożonych. Tymczasem Kościół przeciwnie podkreśla znaczenie – nadając mu jeszcze uzasadnienie religijne – autorytetu, wyjątkowości i nadrzędności biskupa oraz wartość poddania się jego woli, zaparcia się siebie i braku zaufania do własnej oceny rzeczywistości ze strony wiernego. Tak więc śmiertelne choroby duszy – takie jak rezygnacja z własnej sprawczości, porzucenie samostanowienia czy zwątpienie w adekwatność lub wagę własnego osądu –

jawia się tutaj nie jako swoisty „wypadek przy pracy”, niedający się uniknąć margines lub niechciany skutek, ale oczekiwana postawa. Jak inaczej można bowiem rozumieć cytowany wyżej fragment *Lumen gentium*, który tylko nieco innymi, łagodniejszymi słowami przekazuje tę samą treść, co Pius X w encyklice *Vehementer nos*, gdy pisał, że „(...) jedynym obowiązkiem wspólnoty wiernych jest przyzwolenie na bycie kierowanymi i, jak przystało posłusznemu stadu, podążanie za pasterzami”, lub Grzegorz I w słynnym już następującym urywku: „Nie wypada, abyś ty, biskup, który jesteś głową, na czyjąś zgubę słuchał ogona, czyli zbuntowanego człowieka świeckiego, skoro ty masz słuchać tylko Boga. Winienesz rządzić podwładnymi, a nie podlegać ich władzy, wszak zgodnie z porządkiem urodzenia syn nie rządzi ojcem ani uczeń nauczycielem, żołnierz królem ani świecki biskupem (...)”.

16 Dziś już wiemy, że wzniosłe idee, których realizacji nie poddaje się kontroli ze strony tych, którzy mają doświadczyć korzyści, ponosząc koszt ich aplikacji do rzeczywistości, nieodmiennie prowadzą do demoralizacji zarówno ze strony sprawującego władzę, jak i poddanego tej władzy, w jakiejś – chciałoby się powiedzieć – isticie szatańskiej komplementarności.

Klerykalizm systemu

Zdolnymi do władzy rządzenia, która jest w Kościele z ustanowienia Bożego, i która jest również nazywana władzą jurysdykcji, są zgodnie z przepisami prawa ci, którzy otrzymali święcenia.

kan. 129, p. 1 KPK

Biskupi, którzy z ustanowienia Bożego są następcami apostołów, przez Ducha Świętego, który został im dany, są ustanawiani w Kościele pasterzami, aby i oni sami byli również nauczycielami doktryny, kapłanami świętego kultu i wykonawcami posługi rządzenia.

kan. 375, p. 1 KPK

17 Słusznie uważa się, że arogancka, władcza lub autorytarna postawa wielu duchownych, wynikająca z nieuzasadnionego poczucia wyższości, jest jedną z przyczyn współczesnego kryzysu Kościoła. Podobnie prawidłowa jest diagnoza, że sprzyja temu podejście wiernych świeckich, którzy bez sprzeciwu pozwalają na takie zachowania, a nawet je umacniają, traktując duchownych jako osoby wyjątkowe, którym należą się różnorakie przywileje, prerogatywy i względy. Proponowane lekarstwo, czyli powrót do ewangelicznego uniżenia ze strony duchownych oraz oddanie pewnej części odpowiedzialności w ręce świeckich, jest jednak tyleż uzasadnione i konieczne, co dalece niewystarczające.

18 **Klerykalizm wydaje się bowiem nie tylko postawą człowieka, ale i cechą instytucji Kościoła** (chodzi o doczesne struktury prawno-organizacyjne, nie o lud Boży), skoro tak powszechnie się w nim ujawnia. Masowa skala występowania tego negatywnego zjawiska skłania do wniosku, że jego przyczyną jest coś więcej

niż grzeszna natura człowieka. Każdy system społeczny, a niewątpliwie jest nim Kościół w swojej widzialnej postaci, generuje i nagradza lub wygasza i represjonuje określone zachowania. Jeśli więc faktem jest triumf klerykalizmu, to znaczy, że mamy do czynienia z systemem, który samoistnie (niezależnie od wysiłku i moralnych zalet większości jego uczestników) reprodukuje taki model funkcjonowania wspólnoty. Zatem źródłem problemu – a zarazem adekwatnego remedium – należy poszukiwać również w samych ramach instytucjonalnych Eklezji, rozumieniu natury i sposobu sprawowania w nim władzy, roli duchownych i świeckich.

Arbitralność wizji Kościoła

19 Obecna struktura organizacyjna Kościoła, w tym sposób sprawowania w nim władzy, jest wynikiem zarówno źródłowego doświadczenia apostołów, autorytetu pierwszych ojców, heroizmu męczenników oraz wsłuchiwania się w natchnienia Ducha Świętego zarówno w planie powszechnym w postaci orzeczeń soborowych, jak i indywidualnym, owocującym pomnikami piśmiennictwa chrześcijańskiego, a także określonego kontekstu historycznego, kulturowego, politycznego czy wręcz osobowościowego starszych naszego Kościoła. Bez ryzyka błędu można więc powiedzieć, że doczesne formy działania Eklezji, także w wymiarze partykularnym, czyli diecezji, są ludzką recepcją Boskiego ładu, jakąś mniej lub bardziej udaną próbą zaadaptowania Ewangelii do wymagań danej współczesności. Dlatego, choć w pierwszym odruchu trudno to przyznać, współczesny kształt Kościoła – wydając się jedynym możliwym, uzasadnionym i adekwatnym – jest silnie naznaczony elementami subiektywnymi, przypadkowymi, a nawet chaotycznymi.

20 Pomimo to w Kościele konsekwentnie pomniejsza się, o ile nie ignoruje zupełnie, ludzki aspekt w mówieniu o jego strukturze i nauczaniu. Wskazuje się pierwiastek boski jako gwarant obiektywności głoszonego nauczania. W praktyce obowiązywalność doktryny rozpatruje się w oderwaniu od ludzkiej, więc ułomnej natury (np. dogmatu o nieomyślności papieża nie relatywizuje się osobowymi cechami następcy świętego Piotra, lecz zakresem przedmiotowym i formą wypowiedzi). Prawomocność władzy biskupiej legitymizowana jest nieprzerwaną sukcesją apostolską rozumianą jurydycznie, bez uwzględniania faktu, że każdemu wyświęceniu biskupa towarzyszy ludzkie rozeznanie i decyzja (czasem zgoła ziemsko motywowana). Zasadność norm moralnych jest sankcjonowana prawem naturalnym, abstrahując od faktu, że nie istnieje ono w czystej formie, wydestylowanej z ludzkiej interpretacji.

21 Trzeba zatem przyjąć, że obowiązującym kościelnym normom (także w zakresie relacji biskup–wierny) przysługuje zarówno autorytet Boga, jak i (w różnym stopniu) obciążająca arbitralność Jego interpretatorów. **Arbitralność obowiązujących w Kościele zasad oraz samej władzy kościelnej nie oznacza więc ich absolutnej dowolności, lecz polega na przyznawaniu im obcego, dodatkowego znaczenia, nieznanego doświadczeniom i tekstom źródłowym.** Faktem jest, że

Jezus ustanowił apostołów i polecił im głosić Jego naukę, jednak nadinterpretacją (arbitralnością) jest kategoryczna opinia Soboru Watykańskiego II, że „kto słucha biskupów, słucha Chrystusa”. Prawdą jest, że władza rządzenia nie została przez Jezusa zakazana, anulowana lub wyklęta, ale tylko jedną z jej możliwych interpretacji jest norma, że z Jego ustanowienia mogą ją sprawować jedynie wyświęceni mężczyźni. Tak rozumiana arbitralność nie znaczy zatem, że nauczanie Kościoła jest automatycznie błędne, że nie mówi nic ważnego, że z założenia jest bezużyteczne. Jej obecność jest apelem o ostrożność i pokorę w propagowaniu określonych idei jako niezafałszowanego głosu samego Boga.

Pozorna służebność

Biskupowi diecezjalnemu w powierzonych mu diecezji przysługuje wszelka władza zwyczajna, własna i bezpośrednia, jaka jest wymagana do sprawowania jego pasterskiego urzędu (...).

kan. 381, p. 1 KPK

Do biskupa diecezjalnego należy rządzenie powierzonym mu Kościołem partykularnym, z władzą ustawodawczą, wykonawczą i sędziowską, (...).

kan. 391, p. 1 KPK

22 Mając na względzie powyższe normy, można stwierdzić, że w ramach diecezji biskupowi przypisuje się najwyższy autorytet, pierwszeństwo w hierarchii, absolutnie dominującą pozycję oraz wyłączny przywilej określania, narzucania i egzekwowania decyzji. Są to typowe uprawnienia władcze, które cechują zupełnie ziemskie ustroje polityczne. Co więcej, skupienie w rękach jednej osoby wszystkich, klasycznie rozróżnianych, trzech władz (i po części czwartej władzy w postaci diecezjalnych mass mediów), prowadzi do wniosku, że **biskup sprawuje swoją władzę praktycznie bez kontroli i bezkarnie, więc autorytarnie, a wobec podległych sobie księży, którzy ślubują mu posłuszeństwo, w zasadzie totalitarnie**. Ponieważ taka obiektywna sytuacja stoi w jawnej sprzeczności z nauką Jezusa („Nie tak będzie między wami”), **w użyciu znajdują się mechanizmy, które ukrywają jej rzeczywisty charakter**. Konstatacja ta nie oznacza jednak wrogości czy choćby podejrzliwości w zakresie intencji sprawujących władzę biskupów. Biskupi rządzą autorytarnie/totalitarnie, gdyż nie są świadomi takiego stanu rzeczy, nie mają alternatywy z powodu obowiązujących norm, a obecny model sprawowania władzy przyjmują jako ustanowiony przez samego Chrystusa, więc prawidłowy i niezmienny. Wierni świeccy i duchowni poddają się takiemu rządzeniu najczęściej z tych samych powodów.

23 Podstawowym mechanizmem (niejako naturalnym, samoistnym) ukrywającym faktyczny stan rzeczy jest funkcjonowanie w określonym kontekście społecznym, który kształtuje jego uczestników poprzez nieustanną z nim styczność w postaci konkretnych instytucji, mediów, rytuałów, komunikatów, zakazów,

nakazów, różnorodnych ograniczeń i ułatwień. Taki długotrwały wpływ wytwarza nawyk jednostki w postaci schematów mentalnych, umiejętności, sposobów postrzegania i oceny, preferencji myślowych i upodobań do określonych działań. Środowisko kościelne nie jest pod tym względem wyjątkowe. Dodatkowo w Polsce, gdzie Kościół katolicki zajmuje dominującą (ze względów historycznych) pozycję wobec alternatywnych ofert życia społecznego – czyli w praktyce nie ma możliwości uniknięcia jego oddziaływania, a próby zdystansowania często spotykają się z opresją środowiska lokalnego lub trudnościami w życiu codziennym – siła i efektywność tego zjawiska jest ogromna.

24 Wobec powyższego wierny od urodzenia zostaje wprowadzany w określone nawyki myślowe poprzez życie we wspólnocie kościelnej, która oddziałuje na niego przez wychowanie w katolickiej rodzinie, uczestnictwo w praktykach religijnych, katechezę, katolickie media, świecką kulturę prześięknętą znaczeniami religijnymi itp. Wierzący rzadko podejmuje przemyślane, poddane intelektualnej i etycznej obróbce, wyważone i zobiektywizowane decyzje. Zazwyczaj kieruje się automatyczną nawigacją, która mówi głosem dotychczasowego parafialnego doświadczenia, zasłyszanych wielokrotnie powiedzeń, przykładów i nauk, pobożnego nawyku i kościelnej praktyki. W efekcie dysponuje nieświadomie wyuczonym schematem rozumowania (np. ponieważ aborcja jest zła, musi być prawnie zakazana), utrwalonymi zasadami porządkującymi świat (np. cywilizacja śmierci vs. cywilizacja życia), gotowym słownikiem poprawnej „katolicyzmy” (np. są nieczyste myśli, a nie fantazje seksualne), ustalonymi praktykami (np. niedzielna Eucharystia, ryba w piątek), zdeterminowanymi zachowaniami społecznymi (np. nigdy nie wspieram WOŚP), zwyczajową pobożnością (np. różaniec: tak, medytacja: nie).

25 W jaki sposób ten mentalny trening (a może nawet tresura) powoduje, że żadna ze stron relacji władzy w Kościele nie orientuje się, że tworzy toksyczną sytuację, w której istnieje bardzo wąska dominująca, uprzywilejowana i dysponująca autorytetem grupa oraz cała reszta, podporządkowana, zależna i pozbawiona realnego wpływu? Jak to się dzieje, że napomnienie Jezusa o służebnej roli starszych Kościoła da się uzgodnić z sytuacją, w której tylko biskupi okazują się posiadaczami monopolu na prawomocne wypowiadanie się na temat wizji Kościoła, narzucanie własnego rozumienia Ewangelii, określanie wszelkich praw i obowiązków. Wreszcie, dlaczego większość uważa, ewidentnie wbrew zdrowemu rozsądkowi, że tylko biskup posiada dyspozycje usprawiedliwiające zajmowanie pozycji najwyższego autorytetu religijnego, tak niepodważalnego, iż do pełnienia tej funkcji nie potrzebuje głosu świeckich, a nawet pytania o ich potrzeby?

26 Odpowiedzią jest fakt posługiwania się specyficznym językiem, który za każdym razem przy próbie zrozumienia odczuwanego dyskomfortu, przykrości czy szkody uruchamia wytworzone uprzednio schematy postępowania i myślenia. Katolicy zostali wychowani w pewnej tradycji religijnej, filozoficznej i pojęciowej, posługują się też kategoriami biblijnymi, więc osadzeni w – do pewnego stopnia – obcym kontekście społecznym. Sytuacje kryzysowe (np. masowe odejścia

młodzieży od praktyk religijnych) ujmują więc w pojęciach, które nie dają szans na „świeże” spojrzenie, dlatego też proponowane rozwiązania (w podanym przykładzie winnymi okazują się zlaicyzowany świat i zdemoralizowana młodzież, a lekarstwem zwiększone wymagania, surowsze wychowanie i bardziej rygorystyczna dyscyplina) zawsze będą reprodukowały i wzmacniały dotychczasową narrację. Tradycja Kościoła jest niewyczerpanym i bezcennym zasobem, który jest stałym punktem odniesienia dla współczesnych. Staje się jednak przeszkodą, jeśli przyjmuje się milcząco, że w istocie przy reformie Kościoła nie można odrzucić, zakwestionować, zrelatywizować lub choćby sproblematyzować żadnego elementu Tradycji. Jako taki zawoalowany zakaz należy zinterpretować np. słynną wypowiedź Benedykta XVI o fałszywości „hermeneutyki zerwania”.

27 Wszystkie schematy poznawcze, kategorie myślenia, za pomocą których postrzegamy i oceniamy świat, nigdy nie mają neutralnego charakteru, zawsze komuś sprzyjają, jakiś stan rzeczy utrwalają, coś wykluczają, jedne perspektywy otwierają, a inne zamykają. Na przykład metafora „pasterza” nie jest niewinna. Bez względu na dobrą wolę „pasterzy”, głębię teologiczną pojęcia „pasterz” i kanoniczną figurę Chrystusa-Pasterza, zawsze ta metafora będzie realnie ustanawiała fundamentalną podległość, zależność, bierność i niesamodzielność „owczarni”. Używanie określonych wyrażeń ustanawia, podkreśla i wzmacnia nierówność społeczną (np. w sytuacji publicznej biskup najczęściej zwróci się do proboszcza *per* „czcigodny”, a do wiernych „ukochani”, pokrewne znaczenie ma posługiwanie pojęciami „Kościół słuchający” i „laikat” w kontrze do „duchowny” i „wyposażeni we władzę świętą szafarze”). Podobnie ma się sprawa z komunikacją niewerbalną. Cały sztafaż towarzyszący biskupiej obecności w parafii (ubranie, zachowanie, ton głosu) pokazuje, kto jest ważniejszy. Głuchota na głos świeckich, brak odpowiedzi na listy, nieobecność w nieprzychylnych mediach także sankcjonują jakąś wyjątkową pozycję hierarchy.

28 Dobrze służy temu **eufemizacja języka, która polega na zastępowaniu pewnych pojęć tak, aby nigdy nie pojawiły się w wypowiedzi.** Są one zwyczajowo (nieformalnie) zakazane, gdyż odstąpiłyby dominujący, niesprawiedliwy, nieuzasadniony charakter relacji, arbitralność, niesłuszność lub relatywność narzucanych norm. W Kościele katolickim tabu językowe nie jest tylko „pakietem ratunkowym” na wypadek kryzysu (co jest stałą praktyką innych instytucji), lecz preferowanym i dominującym sposobem komunikacji. Dochód duchownego nigdy nie jest nazywany wynagrodzeniem, lecz „ofiarą”, „darem” lub „stypendium”, gdyż bardziej adekwatne słowo odkryłoby istniejący równolegle ekonomiczny charakter sprawowania funkcji kapłańskich. Bez względu na to, co robi biskup, zawsze będzie to „posługa”, nawet jeśli niezmiennie towarzyszą temu splendor, wyrazy wdzięczności (czasem również w postaci okazałej kwoty) i suty obiad. Inne nazwy odstąpiłyby niebezinteresowny sposób wykonywania funkcji biskupa. Tak samo będzie się mówiło o „nadużyciu zaufania” zamiast o gwałcie na osobie z duszpasterstwa, bo okazałoby się, że duchowni uprawiają seks, o „trosce duszpasterskiej”, żeby nie przyznać, że chodzi o wykonywanie władzy, „prawie wypowiadania się w sprawach

społecznych", aby ukryć równie realne i skuteczne próby wpływu na rządzących państwem.

29 Ukryciu niesprawiedliwej i nieuzasadnionej dominacji duchowieństwa służy także **formalizacja tekstów polegająca na formułowaniu myśli w specyficznym, hermetycznym, specjalistycznym języku (na pozór pozbawionym nieścisłości, dowolności i stronniczości słownictwa potocznego) oraz oficjalna kodyfikacja zasad i procedur obowiązujących w Kościele**. Oba zabiegi mają wytworzyć wrażenie bezstronności, obiektywności i neutralności głoszonych zasad (np. brak świeckich w organach decyzyjnych), a co za tym idzie ich niepodważalnej poprawności. Sztandarowym przykładem jest tutaj KPK, który poza funkcją porządkującą, ujednolicającą i wymuszającą zgodność działań z głoszonymi wartościami służy również do legitymizowania powagi, autorytetu, bezinteresowności i słuszności działań, a w skrajnym, choć nie tak rzadkim przypadku, do usprawiedliwienia lub zaniechania postępowania jawnie sprzecznego z Ewangelią (z powoływaniem się na brzmienie lub brak odpowiednich regulacji prawnych).

30 Podobny skutek przynosi **proces neutralizacji polegający na użyciu w komunikacji biernych i bezosobowych konstrukcji oraz podmiotów kolektywnych**, które ukrywają faktycznych autorów podawanych prawd i przedstawianych norm, sprawiając wrażenie, że działaniu na ich podstawie można przypisać uniwersalny, bezstronny i obiektywny charakter. Tymczasem teksty zawsze ukazują pewną określoną wizję świata będącą efektem etycznych, intelektualnych, emocjonalnych i ideowych dyspozycji (a więc arbitralności, subiektywności) ich twórców, czyli w tym przypadku biskupów. Przykładem zaciemnienia tej prawdy jest następujące wyrażenie użyte w *Lumen gentium*: „Obecny sobór święty, w Duchu Świętym zgromadzony, pragnie gorąco oświecić wszystkich ludzi”. Pokrewną funkcję pełni fraza z listów pasterskich Episkopatu: „Podpisali kardynałowie, arcybiskupi i biskupi obecni na...”. Ludzkie współautorstwo, czyli możliwość błędu, nadinterpretacji lub relatywizmu obowiązujących norm często zakrywa się zbanalizowaną formułą o ich „wielowiekowej tradycji”, ogólnikiem typu „Kościół od początku głosił...” albo wymijającym (choć samym w sobie słusznym) stwierdzeniem, że „papież nie może zmieniać nauki Jezusa”.

31 W dokumentach lub oficjalnych wystąpieniach stosuje się również **zabieg uniwersalizacji, który polega na odnoszeniu się do opinii będących – w domniemanym założeniu – poza zasięgiem krytyki**. Służy temu także zwyczaj przytaczania cytatów niekwestionowanych autorytetów w danej dziedzinie lub odwoływania się do powszechnie uznanych (niekoniecznie zasadnie) prawd. W Kościele, także w przypadku prób utrzymania zasadniczej dystynkcji między prezbiterium a świeckimi, mamy do czynienia z odwoływaniem się do określonych fragmentów Biblii, tradycji patrystycznej, świętych i doktorów Kościoła, postanowień soborów i papieży. Z jednej strony stanowią ważny punkt odniesienia, z drugiej – pomijając pozostałe wypowiedzi z tych samych źródeł lub innych mistrzów duchowości, często sprzeczne z uwzględnionymi i równe im co do autorytetu – łatwo sprawić

wrażenie, że żadna inna niż aktualnie obowiązująca interpretacja nie jest możliwa. Podobnie ma się sprawa z ukrywaniem rozbieżności zdań, toczonych dyskusji, liczby głosów przeciwnych, treści zdań odrębnych (a przynajmniej brakiem takiej informacji przy publikacji dokumentów). Popularnym zabiegiem jest również posługiwanie się teoretycznie słusznymi, zgrabnym sentencjami, których zadaniem jest jednak ucięcie dyskusji, choć stanowią wyłącznie erystyczny chwyt. Przykładem może tu być zwrot „równi w godności, różni w posłudze”, który ma religijnie sankcjonować faktyczną dominację duchownych nad świeckimi. Zwulgaryzowaną (ale tylko co do formy, a nie treści) wersją tego powiedzenia jest retoryczne pytanie, które z pewnością chociaż raz usłyszał każdy polemicznie nastawiony świecki: „Kim ty jesteś, że krytykujesz biskupa?”.

32 Jeszcze innym elementem formującym nieuzasadnioną przewagę duchownych jest **pielęgnowanie paradygmatu profesjonalizmu**. Buduje on niewypowiedziane przekonanie, że biskupi zajmują swoją pozycję (poza wolą Ducha Świętego) dzięki solidnemu wykształceniu, ciężkiej pracy i odpowiednim predyspozycjom intelektualnym. Zgodnie z taką wizją głoszonym przez nich normom przysługuje nieomyślność, gdyż wynikają (poza asystencją Ducha Świętego) z prawidłowego rozpoznania rzeczywistości i zastosowania wobec niej niekwestionowanych reguł teologii. Dyskusja w Kościele jest utrudniona również więc z tego powodu, że istnieje domniemany konsensus, iż potrzebne jest do niej akademickie wykształcenie teologiczne, a dysponuje nią tylko wąska grupa duchownych, przy czym poważnie traktuje się (ułatwiając pracę i udostępniając wydziały) tylko tych, których badania są „bezpieczne” z punktu widzenia utrzymania *status quo*. Aktywnych naukowo i niezależnych teologów świeckich jest niewiele (trudno się z tego utrzymać), więc możliwość znaczącego rozwoju doktryny zostaje w praktyce zredukowana do minimum. Nie przez przypadek dyskusje o naturze władzy w Kościele, sposobie jej sprawowania i podmiocie właściwym do jej pełnienia ugrzęzły w miejscu – pomimo ważnego impulsu ze strony Soboru Watykańskiego II – a wysiłek teologów koncentruje się na coraz bardziej jałowym doszukiwaniu się głębi metafory „pasterza” i „stada”, podczas gdy – być może – rozwiązanie kryje się w odważnym przewyciężeniu jej monopolu w opisywaniu wewnętrznej dynamiki Eklezji.

Faktyczna przemoc

33 Do tej pory pojawiły się takie określenia jak „nieuzasadniona przewaga duchownych”, „dominacja duchownych nad świeckimi”, „zasadnicza dystynkcja między prezbiterium a świeckimi” czy „toksyczna sytuacja” (oczywiście te same pojęcia odnoszą się do relacji między duchownymi znajdującymi się na różnych stopniach hierarchii). Tymczasem najbardziej adekwatnym, jedynym odslaniającym naturę problemu słowem jest „PRZEMOC”. **Jest to przemoc bardzo subtelna, niewidoczna, gdyż wymusza na ludziach pewne zachowania w taki sposób, że nie są oni świadomi przymusu**. Nie chodzi przy tym o cyniczną kalkulację

najwyższego kleru. Ten rodzaj przemocy funkcjonuje właśnie dzięki temu, że pozostaje nierozpoznana przez wszystkich wiernych, w tym przez biskupów. Nie mamy więc tu do czynienia z celowym narzuceniem pewnego ładu, który sprzyja biskupom, lecz powszechną zgodą, że ta wizja Kościoła, gdzie w konsekwencji biskupi są uprzywilejowani, jest faktem oczywistym i niezmiennym.

34 Czy to jednak wyczerpuje znamiona przemocy, skoro jest tu mowa o wyrażonej na taki stan rzeczy zgodzie? Pułapka polega na tym, że chodzi tu o mniej lub bardziej dobrowolną akceptację uczestnictwa w życiu Kościoła, pielgrzymującym ludzie Bożym, mistycznym Ciele Chrystusa, mającym w dyspozycji wszystkie narzędzia zbawienia. Natomiast w wyniku wytworzenia określonego stopnia zaangażowania katolik staje się, niejako w pakiecie, przedmiotem całego zestawu oddziaływań, których nie tylko nie rozpoznaje jako przemocowe, lecz jawią mu się (nawet jeśli obiektywnie go krzywdzą) jako korzystne, a nawet pożądane. **Uleganie przymusowi, którego nie jest się świadomym, nie sprawia, że przymus nie istnieje lub ma mniejszą siłę oddziaływania.** Wręcz przeciwnie, tym trudniej się przed nim bronić, im mniej zdaje się z niego sprawę. W przyznaniu, że jest się obiektem przemocy (szczególnie, gdy długo i nieświadomie tkwi się w przemocowym, ale bliskim i ważnym dla siebie środowisku), przeszkadzają także mechanizmy psychologiczne, takie jak wstyd i lęk przed odrzuceniem.

35 Młody mężczyzna wstępuje do seminarium pełen ideałów, energii i marzeń. Ufając Kościołowi, poddaje się regułom koniecznym do sprawnego zorganizowania życia i stworzenia warunków do rozwoju w zamkniętej wspólnotie studentów. Przeżywa radość z wejścia na drogę powołania, ciekawia go zajęcia, cieszy się z opieki duchowej, czuje satysfakcję z kontaktu z podobnymi sobie kolegami. Nie zauważa, że przełożeni nie traktują go jak dorosłego, dojrzałego człowieka, gdy musi uzyskać zgodę na wyjście poza mury budynku, kontrolują porządek w pokoju, detalicznie organizują mu harmonogram całego dnia. Nie identyfikuje momentu, gdy świadomie wybrana dyscyplina zamienia się w tresurę. Zaczyna się pozornie niewinnie od egzekwowania niepisanego, absurdałnego zakazu noszenia zarostu. Dalej następują rozmowy z kierownikiem duchowym, gdy podczas wykładu kleryk zadaje trudne pytania. Następnie wezwanie do rektora po odmowie obsługi biskupa podczas zakrapianej imprezy. I tak kandydat na księdza, pragnąc „wypełniać wolę Jezusa”, niepostrzeżenie pozbywa się najpierw samodzielności, potem krytycznego myślenia, dalej sumienia, a na końcu godności. Alternatywą jest rezygnacja z powołania, wstyd wobec własnego środowiska i konieczność rozpoczęcia wszystkiego od zera.

36 Młoda kobieta pragnie rozwijać swoją duchowość w ramach duszpasterstwa akademickiego. Zafascynowana osobowością lidera rzuca się z zapałem w wir pracy z będącymi pod opieką grupy studentów potrzebującymi. Przyjmuje za oczywistość, że takie zaangażowanie bez modlitwy, Eucharystii i rekolekcji stanie się zwykłą pracą charytatywną, a nie odpowiedzią na wezwanie Jezusa. Nie zauważa, że ma coraz mniej czasu dla znajomych, naukę i relaks, gdy z racji sukcesów

przydzielane są jej dodatkowe obowiązki, jest doceniana przez duszpasterza, a jej znaczenie we wspólnocie rośnie. Jediną podpowiadaną jej receptą na zmęczenie jest jeszcze więcej modlitwy, dodatkowe pobożne praktyki i kolejne rozmowy ze stałym spowiednikiem. Ignoruje moment, gdy proponowane, a następnie oczekiwane od niej zachowania stają się specyficzne, dziwaczne, wreszcie niestosowne, a nawet nieakceptowalne. Powodowana „wiernością Jezusowi” niezauważalnie dla siebie traci zdrowie, zdolność trzeźwej oceny sytuacji i w końcu wolność. Jediną inną opcją jest odejście z duszpasterstwa, a w konsekwencji porzucenie potrzebujących, ostracyzm społeczny i poczucie porażki.

37 Powyższe przypadki to skrajne (miejmy nadzieję, że coraz mniej liczne), ale przez to obrazowe przykłady przemocowych mechanizmów spotykanych w Kościele. Ich ekstremalny charakter nie oznacza jednak, że sama przemoc kościelna jest czymś sporadycznym lub nieszkodliwym. Wręcz przeciwnie, większość katolików spotyka się z nią na co dzień i doświadcza jej fatalnych skutków, nawet jeśli o tym nie wie. Rozwodnicy, którzy nie tworzą nowych, zdrowych związków z obawy o swoje życie wieczne. Rodzice, którzy tracą relacje z dziećmi, gdyż nie są w stanie zaakceptować ich wyborów życiowych nazywanych przez Kościół grzesznymi. Chłopcy, którzy przeżywają katusze, gdyż przedstawia się im, że naturalne, seksualne zachowania rozwojowe skazują na potępienie. Młode kobiety, które po ślubie doświadczają szoku, gdy okazuje się, że przez kult dziewictwa mają wypaczone wyobrażenia na temat seksu. Małżonkowie, którzy żyją w permanentnym dylemacie moralnym, gdyż stosują antykoncepcję. Każdy, kto podejmuje „podejrzane” praktyki dalekowschodniej sztuki zdrowego życia, słucha „niewłaściwej” muzyki, czyta „nieodpowiednich” autorów, wspiera „ideologie”, głosuje na „wrogą Kościołowi” partię, myśli inaczej niż „święci pasterze”, „oszpeca” swoje ciało tatuażami (ta wyliczanka nie ma końca), zostaje wcześniej czy później postawiony wobec szantażu emocjonalnego: jeśli nie zachowasz się w określony sposób, pójdziesz do piekła.

38 Jeżeli przyjrzymy się tej rzeczywistości bez uprzedzeń, chłodnym okiem, stosując kryteria psychologiczne, to zobaczymy tam: zawstydzanie (dziewczynę, która nie jest dziewicą, opisuje się jako „brudną szklankę”, „nadgryzione jabłko”), budzenie lęku („zagrożenia duchowe”), wywoływanie poczucia winy („kryzys kapłaństwa to skutek braku modlitw za duchowieństwo”), podważanie ufności we własne oceny („Bóg nie dopuszcza cierpienia większego, niż można znieść”), stosowanie gróźb (uzależnianie dostępu do sakramentów od karteczki ze spowiedzi), presji („dobry katolik zawsze przyjmuje księdza przybywającego z wizytą duszpasterską”), obietnic („czystość gwarantem szczęśliwego małżeństwa”), nękania (stały zestaw pouczeń), poniżania („nie wypada (...) słuchać ogona, czyli zbuntowanego świeckiego”), ignorowania (odmowa wysłuchania), czyli **klasyczne objawy zachowań przemocowych**. Są one szczególnie skuteczne, gdyż dotyczą ostatecznych spraw człowieka i pojawiają się wyjątkowo dobrze zakamuflowane w religijnym języku pełnym patetycznych wezwań do „pokory”, „zaparcia się siebie”, „chrześcijańskiego posłuszeństwa”, „niesienia krzyża”, „dobra Kościoła” itp.

39 Można oczywiście zamknąć oczy i nie nazywać rzeczy po imieniu albo uznać, że nie można w inny sposób głosić Chrystusa, bronić prawdy i prowadzić ludzi do zbawienia. Można też zobaczyć rzeczywistość taką, jaką ona jest – nieprzyjemną, zaskakująco nieewangeliczną, szkodliwą – i próbować ją zmienić, bo skoro Jezus mówi, że „nie tak będzie między wami”, to inny Kościół jest nie tylko możliwy, ale i konieczny. Czy w ogóle tak rozumiana przemoc (a nie ma chyba innego adekwatnego rozumienia) ma jakiś związek ze sprawowaniem władzy w diecezji? Może dotyczy tylko nauczania i sporadycznych nadużyć? Nic bardziej mylnego. Przemoc, o której tu mowa, dokonuje się – jak próbowano wykazać – dokładnie tam, gdzie się jej za przemoc nie uważa, a najbardziej podejrzane są te momenty, w których mówi się o czymś zupełnie przeciwnym: służbie, bezinteresowności, ofiarności, prawie naturalnym, woli Boga. Tylko to pozwala zrozumieć mechanizm, jaki kryje się za sytuacją, w której Kościół nie widzi sprzeczności pomiędzy – co prawda paradoksalnym w charakterze, ale dość jasnym – nakazem Jezusa, aby podstawą relacji było wzajemne wsłuchiwanie w siebie, a konstatacją, że stano- wiący wyniesioną ponad wszystkich elitę biskupi są „nauczycielami doktryny, kapłanami świętego kultu i wykonawcami posługi rządzenia”. Szczególnie sformuło- wanie ostatniej roli, w jakiej widzą się nasi ordynariusze, odsłania koncepcję władzy rujnącej Kościół. To po prostu zwykła, prozaiczna, świecka, autorytarna władza, z jej przywilejami, atrybutami i brakiem kontroli, której służebność ukazuje się tyl- ko w romantycznych wizjach autorów kościelnych dokumentów. Pora przywrócić jej chrześcijańskie znaczenie.

CZĘŚĆ II. KOŚCIÓŁ SYNODALNY

Prawdziwa służba

40 Czym jest służba, o której mówi Jezus? Czy to tylko pełnienie swojej roli z poświęceniem, jak uczy słownikowa definicja? Wobec tego każda solidnie wy- konywana praca byłaby służbą, ponieważ poświęca się jej swój czas, umiejętności i siły. Nie ma wątpliwości, że posługując się pewną przenośnią, można mówić o na- uczycielu jako pozostającym na służbie edukacji narodu lub o pracownikach firmy sprzątającej jako służących określonej społeczności lokalnej. Z pewnością jednak zasadnie i dosłownie mówimy o służbie strażaka czy policjanta, który naraża swo- je zdrowie i życie (a także dobrostan swojej rodziny), ratując innych. Zatem **istotą służby jest ryzyko poniesienia realnej krzywdy w związku z jej pełnieniem**. Jed- nakże w przypadku wymienionych zawodów ich przedstawiciele otrzymują w za- mian określone przywileje (np. korzystniejsze warunki emerytalne), status dający ochronę (funkcjonariusz publiczny) i gwarancję zadośćuczynienia (o ile to możli- we) za straty poniesione w wyniku pełnionej służby. Mamy tu więc do czynienia z godnym podziwu, głęboko humanistycznym sposobem życia, ale czy wyczerpu- je on znamiona postawy, do której Chrystus namawia swój Kościół?

41 Tak, niewątpliwie jest dobrym punktem wyjścia, ale prawdziwy rys chrześcijański otrzymuje, gdy staje się bezinteresowna oraz pozbawiona zabezpieczeń. Dlatego po zaleceniu, aby kierujący Kościołem czynili to, służąc innym, Chrystus dodaje, aby się nie spodziewali, a tym bardziej nie domagali, uważając się z tego powodu za wyniesionych ponad innych, specjalnego traktowania. Nie wystarczy więc tylko służyć, trzeba być w tym „jak niewolnik”, czyli pozbawionym przywilejów, szczególnej ochrony, gwarancji wynagrodzenia, chwały i wpływów. Innymi słowy **każda rola w Kościele, która wiąże się z władzą, powinna w praktyce być ostatnią z tych, o które zabiegają chrześcijanie**. W żadnym stopniu bowiem nie powinna oznaczać awansu, osiągnięcia kolejnego stopnia kariery lub wzrostu dochodów. Przeciwnie, autentyczne wypełnienie nakazu Jezusa wydaje się z konieczności wiązać z jakimś rodzajem ubóstwa, umniejszenia, straty, a przynajmniej z brakiem korzyści, jeśli kandydat już wykazuje się takim (kenotycznym) stylem życia. W ten sposób można zminimalizować ryzyko obejmowania urzędów przez osoby, które próbują realizować swoje osobiste, przyziemne, nieuporządkowane ambicje.

Zdesakralizowany biskup

42 Dobrze byłoby zacząć od zmiany postrzegania pozycji biskupa, oczyścić myślenie ze zbędnych, mylących i tym samym szkodliwych nadinterpretacji. Przykładem może tu być kan. 375 KPK, który wychodzi od niekontrowersyjnej, historycznie i teologicznie oczywistej definicji biskupów jako „następców apostołów”. Przechodzi następnie do, co prawda uzasadnionej, lecz już podatnej – ze względu na zmianę kontekstu społecznego – na różnorakie interpretacje, w tym będące nadużyciem, figury „pasterza”. Kończy się natomiast z pozoru definitywnym, a w praktyce bardzo wątpliwym rozstrzygnięciem, że biskupstwo oznacza monopol na prawdę (nauczyciel doktryny), ekskluzywną pozycję niezastępowalnego pośrednika między człowiekiem a Bogiem (kapłan świętego kultu) oraz wszechwładzę zamaskowaną absurdalnym, gorszącym w stylu – bo charakterystycznym dla erystycznego chwytu, sofistycznej sztuczki, żeby nie powiedzieć hipokryzji – wyrażeniem-pułapką, magicznym zaklęciem (posługa rządzenia).

43 To widoczne w komentowanym kanonie teologiczne zapętlenie (posługując się wyrażeniem zapożyczonym od dr. Sebastiana Dudy), które polega w tym przypadku na uczynieniu z następcy apostołów – za pomocą pobożnej nomenklatury – potencjalnego lokalnego watażki, dając latami trwać na urzędzie w aureoli szanowanego hierarchy przemocowemu i zdeprawowanemu ordynariuszowi, wynika z najgłębszego przekonania o szczególnej, niemalże ontycznej (uzyskanej podczas święceń) różnicy między biskupem a resztą wiernych, której nie przekreśla żadna jego podłość. Ta skutkująca wytworzeniem – w istocie – demoralizującego systemu władzy dystynkcja jest pochodną tezy, że biskup to „zastępca Chrystusa na ziemi”, „drugi Chrystus”, należy do „świętego stanu”, przez niego „Chrystus rządzi Kościołem”, a kto jego słucha, „Chrystusa słucha”. Tyle że to niebezpieczne

nieporozumienie, nieszczęsna uzurpacja, nadanie człowiekowi przymiotów nadprzyrodzonych.

44 Błąd polega nie na tym, że Bóg nie przemawia przez biskupów, że nie są przez Niego ustanowieni, że nie mają wyjątkowego, boskiego posłannictwa. Pomyłka leży w tym, że nie tylko oni tworzą Kościół, a tylko do Kościoła jako całości można odnieść wszystkie obietnice Chrystusa. Zatem w sensie ścisłym **to Kościół jest nieomylny, niezniszczalny i święty – a nie biskupi, choćby w komplecie zgromadzeni pod przewodnictwem papieża**. To Kościół naucza, sprawuje kult i kieruje ku Niebu. To Kościołowi Chrystus powierzył misję nazywaną kapłańską, prorocką i królewską. Kościołowi, czyli wszystkim wierzącym. Tu naprawdę nie chodzi o „dostosowanie się do świata”, „uleganie modom” czy „głoszenie ideologii fałszywie rozumianej równości”. Uznanie, że tylko garstka mężczyzn jest „godnych i zdatnych” (kan. 377, p. 2 KPK) do reprezentowania Jezusa, nie jest wyłącznie koszmarem badacza dziejów społeczności religijnych, obawą współczesnego socjologa ani wrogiem nowoczesnego społeczeństwa, ale jest przede wszystkim sprzeczne z tym, co Jezus objawił o Kościele żyjącym w czasach, które nastąpiły po Pięćdziesiątnicy. Można ująć to delikatniej, ale mówiąc wprost, Kościół zasługuje na oczyszczającą szczerłość, że praktyczne **pominięcie opinii, świadectw, mądrości, doświadczeń oraz natchnień świeckich i niższego duchowieństwa stanowi grzech przeciwko Duchowi Świętemu**, który nieustannie udziela się wszystkim wierzącym, a konsekwentnie i skutecznie jest lekceważony przez starszych Kościoła.

Doceniony świecki

45 W takiej sytuacji jedyną adekwatną odpowiedzią jest włączenie dotychczas „milczącej większości” w procesy decyzyjne, wykonawcze i kontrolne, jakie dzieją się lub powinny zacząć funkcjonować w Kościele. Dodać trzeba, że nie chodzi tylko o rolę doradczą w tych dziedzinach, lecz o realny, w tym rozstrzygający, na nie wpływ. Potwierdzeniem słuszności tego kierunku zmian jest najnowsza konstytucja apostolska papieża Franciszka reformująca kurię rzymską *Praedicate Evangelium*, która m.in. zezwala na kierowanie watykańskimi dykasteriami przez świeckich. Historyczne znaczenie tego dokumentu polega na tym, że nie tylko unieważnia postanowienie zawarte w konstytucji apostolskiej *Pastor Bonus* Jana Pawła II („sprawy wymagające wykonywania władzy rządzenia muszą być zastrzeżone dla osób, które otrzymały święcenia kapłańskie”), ale też jawnie ignoruje treść (a przynajmniej dotychczasowe jej rozumienie) kan. 129, p. 1 KPK („zdolnymi do władzy rządzenia, która jest w Kościele z ustanowienia Bożego (...) są (...) ci, którzy otrzymali święcenia”).

46 Nie chodzi jednak o to, aby mechanicznie obsadzić teraz wszystkie wysokie stanowiska w diecezji świeckimi, choć z pewnością zakres obowiązków związanych z częścią z nich nie wymaga kompetencji łączących się ze święczeniami. Istota reformy powinna również (a może przede wszystkim) dotyczyć rozumienia

natury władzy w Kościele i sposobu jej wykonywania. Przez władzę rozumie się zwykle faktyczną możliwość kierowania działaniem drugiego człowieka (niezależnie od jego woli) za pomocą jednostronnie sformułowanych norm oraz środków przymusu pozwalających je wyegzekwować. Zakłada radykalną nierówność stron: skuteczną przewagę po stronie sprawującego władzę i uległość podlegającego władzy. Jest zatem również relacją opartą na przemocy. Tak niestety w dużej mierze wygląda w rzeczywistości „posługa rządzenia”, pomimo zadekretowanej na Soborze Watykańskim II „prawdziwej równości w godności i w działaniu” przysługującej każdemu wiernemu na mocy chrztu. Jedynym znanym ludzkości sposobem na usunięcie (a przynajmniej istotne ograniczenie) nierówności i przemocy jest przejście od podejmowania decyzji indywidualnie lub w niewielkim, dostępnym tylko dla określonych osób gronie do wypracowywania postanowień przy udziale wszystkich zainteresowanych. Papież Franciszek nazwał to synodalnością.

Zasada konsensusu

47 Zasadnicza niechęć wobec synodalności da się streścić w zarzucie, iż Kościół to nie demokracja, że prawd objawionych nie można poddawać pod głosowanie, więc pozostaje strzec depozytu wiary, a właściwie to nie ma wiele miejsca na dyskusję, skoro wszystko, co najważniejsze, już zostało definitywnie rozstrzygnięte przez Tradycję. Zwolennicy takiego stanowiska pomijają fakt, że cały dorobek chrześcijaństwa, całe nauczanie Kościoła (łącznie z dogmatami) jest wynikiem często wielowiekowych sporów, debat, pertraktacji, ustępstw, intryg, polityki i – tak – głosowań. Jeżeli wierzymy, że nad tą mieszaniną uczciwych, ale ludzkich, czyli ułomnych poszukiwań prawdy, przypadkowych zdarzeń historycznych, które uwypuklały jedne, a odsuwały w zapomnienie inne koncepcje teologiczne oraz nieraz cynicznych i egoistycznych intencji stojących za niektórymi orzeczeniami magisterium unosi się Duch Święty, dzięki któremu Kościół mozolnie odkrywa wolę Boga, to dlaczego Jego działanie miałoby być mniej skuteczne wobec całego ludu Bożego, skoro nieomylny zmysł wiary (*sensus fidei*) odnosi się właśnie do niego, a nie wąskiej grupy „zawodowych nauczycieli wiary”. Można zatem powiedzieć, że **synodalność nie tylko nie jest przeciwna naturze Kościoła, ale jest samą naturą Kościoła**. Synodalność ograniczona wyłącznie do biskupów jest jednak jej wypaczeniem, ograniczeniem, objawem partykularyzmu, czyli czymś wprost przeciwnym do katolicyzmu.

48 Jeśli próbuje się nadać synodalności charakter katolicki, czyli powszechny, nie można jej urzeczywistniać tylko w umożliwieniu wypowiedzenia się wszystkim członkom Kościoła, choć to podstawowy warunek, aby mówić o chrześcijańskim sposobie rozumienia i sprawowania władzy. Nie wystarczy też zasięganie w większym stopniu niż dotychczas rady ekspertów świeckich ani powierzanie im kierowania ważnymi urzędami. Ostatnim, lecz niezbędnym krokiem jest zaangażowanie ich w procesy decyzyjne na prawach równych z osobami wyświęconymi. Potrzebna jest jednak równocześnie zmiana w sposobie podejmowania decyzji,

aby z kolei duchowni nie zostali w praktyce pozbawieni znaczenia, bowiem **słusznie twierdzą krytycy synodalności, że nie można jej rozumieć jako kierowania się opinią większości, że nie można jej sprowadzić do referendum czy plebiscytu.** Wydaje się, że istnieje sposób podejmowania decyzji, który uwzględni zarówno fundamentalną równość wszystkich członków Kościoła, możliwość swobodnego wypowiedzenia się, zmniejsza ryzyko błędu, zostawiając miejsce Duchowi Świętemu, jak i redukuje konieczność ich przymusowego egzekwowania. Jest nim rozeznanie, również obecne w nauczaniu papieża Franciszka na temat synodalności.

49 **Idealnym rozwiązaniem i celem każdego rozeznania jest uzyskanie jednomyślnej zgody** (a przynajmniej braku zasadniczego sprzeciwu) uczestników debaty co do omawianej kwestii. Nie zawsze jest to możliwe, ale wydaje się konieczne w przypadku decyzji, które będą skutkowały zobowiązaniem do określonego zachowania całej wspólnoty. Taka zasada uniemożliwia jednostronne wykorzystanie przewagi, jaką dysponuje większość. Dodatkowym atutem tego rozwiązania w przypadku braku jednomyślności jest odłożenie rozstrzygnięcia takiej ważnej sprawy na czas konieczny do ponownego przemyślenia, przedstawienia dodatkowej argumentacji, uzyskania zewnętrznych opinii, zniuansowania zagadnienia, odmiennego postawienia problemu, a przede wszystkim potrzebny na zaangażowanie sumienia, modlitwę i otwarcie na działanie Ducha Świętego, które często polega na zwykłym powstrzymaniu się od pochopnych działań. Wbrew poczuciu rygorystów moralnych **istnieje niewiele spraw, które muszą być przesądzone szybko, ostatecznie i bezwzględnie.** Najbardziej chyba jaskrawym przykładem kwestii, która została rozstrzygnięta z nadmiernym pośpiechem, z brakiem poszanowania różnorodności poglądów, zbyt pryncypialnie i pozornie definitywnie jest kościelna ocena stosowania antykoncepcji. Wydaje się (ze względu na powszechność odrzucenia tego nauczania), że to właśnie zmysł wiary, a nie brak świadomości, wadliwe sumienia, hedonizm czy permissywizm moralny świeckich doprowadził do sytuacji, że codzienna praktyka stoi w gorszącej sprzeczności z oficjalnym stanowiskiem Kościoła, narażając go na utratę autorytetu, a świeckich na zbędne skrupuły.

50 Podstawowym narzędziem dochodzenia do jednomyślności jest aktywne słuchanie siebie nawzajem, które polega nie tylko na stworzeniu okazji do wybrzmienia każdego ze stanowisk (to oczywista podstawa), ale także na takim ich sformułowaniu (to kluczowe zadanie dla powodzenia całej operacji i zazwyczaj jest zadaniem dla całej wspólnoty), aby satysfakcjonowało autora oraz było zrozumiałe dla wszystkich pozostałych. Celem takiej procedury nie jest bynajmniej zarysowanie różnic w poglądach, lecz identyfikacja i afirmacja potrzeb poszczególnych członków społeczności, które ukrywają się za prezentowanymi stanowiskami. Wskaźnikiem, że taki cel nie został osiągnięty, jest obecność negatywnych (mówiąc poprawnie: trudnych) emocji uczestników dyskusji. Ważną wobec tego zasadą jest prowadzenie rozmowy aż do czasu, gdy wszyscy poczną (*consensus*, współodczuwanie), że zostali właściwie wysłuchani i zrozumiani. Ostatnim punktem jest opracowanie strategii, która pozwoli na zaspokojenie wszystkich ujawnionych potrzeb. **Błędne jest bowiem przekonanie, że konsensus polega na kompromisie**

rozumianym w ten sposób, że jego warunkiem jest ustąpienie każdej ze stron z części swoich oczekiwań. To raczej przepis na porażkę, szybką kontestację ustaleń i permanentny powrót do tych samych dyskusji.

51 Sama jednomyślność, czyli w praktyce – powiedzmy to jeszcze raz – **wspólna strategia zaspokojenia ujawnionych potrzeb**, wcale nie musi przyjmować charakteru *unisono* (to chyba rzadkość), może odzwierciedlać faktyczny wielogłos albo inaczej mówiąc, można w pewnym sensie uznawać jej stopniowalność. Jednomyślność, przy braku powszechnej zgody na dosłowną treść danego dokumentu można ocalić, jeśli np. zezwoli się na dołączenie do niego preambuły, komentarzy precyzujących rozumienie spornych sformułowań, wytycznych do jego stosowania albo określi się termin, po którym nastąpi ocena jego skutków. Można również ograniczyć zasięg decyzji, kierując się chociażby kryterium terytorialnym, obniżyć jej rangę, wskazując, że jest rozwiązaniem tymczasowym, lub zmniejszyć moc obowiązowania, ogłaszając jako wskazówki, zalecenia czy dobre praktyki. Oczywiście to tylko drobny wycinek sposobów na to, aby nie sparaliżować działalności wspólnoty pomimo nieprzezwycięzalnych (przynajmniej w danej chwili) różnic, ocalając jednocześnie poczucie ważności i sprawczości tych, którzy znajdują się w mniejszości.

52 Większość decyzji nie wymaga jednak jednomyślności, gdyż są albo neutralne moralnie, albo ich skutkiem nie jest wytworzenie sytuacji przymusu działania wbrew sumieniu. Chodzi zarówno o sytuacje codzienne, sprawy administracyjne czy rozstrzygnięcia mniejszej wagi, jak i dalekosiężne w skutkach, strategiczne dla losu wspólnoty i decydujące o jej zasadniczym profilu, lecz pozostawiające swobodę działania dla osób prezentujących zdania odrębne. W tym miejscu należy dokonać zdecydowanego zerwania z obecną w kościelnym dyskursie tabuizacją samego procesu podejmowania decyzji w postaci głosowania, jak i nieuzasadnioną praktyką dezawuowania jej poprzez powiązanie z budzącym lęk w kościelnych środowiskach „demonem demokracji”. Trzeba więc powiedzieć jasno i zdecydowanie, że jest miejsce w Kościele na znaną z systemów demokratycznych procedurę podejmowania decyzji (jako jej etap lub poznanie zakresu poparcia), także tych najważniejszych, gdyż – jak wykazano powyżej – istnieją sposoby, aby wypowiadał się przez nie Duch Święty. **Skoro poprzez głosowanie można wybierać papieża i formułować nauczanie Kościoła, to można również tak wybierać biskupa i decydować o priorytetach wspólnoty diecezjalnej. Nie ma też żadnych powodów, aby wyłączać z tego procesu świeckich.**

53 Wydaje się, że za stosowaniem strachu przed upiorem demokracji jako pałki na te nurty myślenia o Kościele, które starają się oczyścić go z rozumienia władzy i sposobu jej sprawowania narzuconego dziewiętnastowieczną, romantyczną wizją monarchii, stoi ten sam resentyment (obawa przed emancypacyjną energią „woli ludu”), który doprowadził do uznania jej za model rządzenia ustanowiony przez samego Boga. Wyrazem takiego podejścia jest dogmat o nieomyślności papieża ogłoszony na Soborze Watykańskim I, tylko częściowo i raczej nieskutecznie zniuansowany przez ideę synodalności biskupów obecną w dokumentach Soboru

Watykańskiego II. Także obecny Synod o synodalności, który dowartościowuje rolę świeckich, swobodną dyskusję i głosy mniejszościowe, jak ognia unika jakichkolwiek odniesień do zdobyczy współczesnych, liberalnych społeczeństw. Można nawet zaryzykować tezę, że paradoksalnie petryfikuje dotychczasowy monarchiczny, niewydolny ustrój Kościoła, oddając w praktyce kontrolę nad tym procesem wyłącznie biskupom. Tymczasem dopuszczenie do policzenia głosów wszystkich zainteresowanych (więc też ludzi świeckich), a nawet podejmowanie na tej podstawie decyzji nie oznacza jeszcze, że Kościół staje się demokracją, tak jak oddanie władztwa papieżowi w łączności z biskupami nie sprawia automatycznie, że Eklezja zyskuje – w dużej mierze mityczny – charakter teokracji.

Biskup jednoczy wspólnotę

54 Jezus nie przedstawił szczegółowego planu organizacji Kościoła. Jednak, na szczęście, nie pozostawił swoich uczniów zdanych całkowicie na naśladowanie ludzkich wzorców organizacji wspólnoty. Wręcz przeciwnie, przestrzegł ich, aby ich nie odtwarzali. Wielkie i fundamentalne ostrzeżenie – „nie tak będzie między wami” – należy odnieść do wszelkich form ludzkiego sprawowania władzy, gdzie swoją wolę narzuca się pozostałym przemocą, bez względu na to, czy władzę sprawuje jedna osoba, czy też większość. Dlatego nie ma jednego, uprzywilejowanego, „bardziej boskiego” ustroju społeczności ziemskich, który mógłby posłużyć za model Kościoła. Wiemy natomiast, że ma się od nich radykalnie odróżniać. W konsekwencji **należy równie ostrożnie podchodzić zarówno do wzorców znanych z monarchii, jak i demokracji**. Nie oznacza to jednak, że nie można czerpać, wręcz wydaje się to niemożliwe, ze sprawdzonych mechanizmów funkcjonowania zdrowych wspólnot.

55 Idąc za tą myślą, można podjąć próbę redefinicji roli biskupa tak, aby nie tracąc biblijnej perspektywy, zakorzenić ją w czasach współczesnych. Pozostawiając na boku nieprzebrane bogactwo nauczania Kościoła na ten temat, należy zacząć od prostej konstatacji, że o ile nie ma wątpliwości, iż Jezus posłał apostołów/biskupów, aby Go naśladowali i głosili Dobrą Nowinę (co, na marginesie mówiąc, wcale nie musi oznaczać monopolu na sprawowanie kultu i nauczanie), to już tak jasno nie powierzył im całej władzy w rodzącej się wspólnocie. Choć „antysystemowy” styl działalności Jezusa jest słabym argumentem, że nie życzył sobie, aby Kościół w ogóle przyjął ziemskie struktury społeczne z ich skomplikowanymi, niedoskonałymi relacjami wewnętrznymi, w tym relacjami władzy, to z pewnością też nie „kanonizował” rozwiązań, które pojawiły się w pierwszych wspólnotach chrześcijańskich, a tym bardziej pomysłów z czasów pokonstantyńskich, które w efekcie przypisały biskupom całkiem świeckie uprawnienia władcze.

56 Kościół na ziemi nie dzieje się bowiem w abstrakcji, lecz w konkretnym momencie dziejów, a tworzenie się jego fundamentów przypadło na czasy, kiedy punktem odniesienia, sposobem myślenia, światem zastanym była cywilizacja

rolnicza podzielona na wyraźnie odrębne stany społeczne, rządzona przez wszechwładnych monarchów i administrowana przez wąską grupę uzależnionych od nich, lecz udzielnych na swoim terenie książąt. Nic zatem dziwnego, że wśród kategorii, w jakich opisano sposób działania Kościoła, znalazł się pasterz i stado, autorytet i posłuszeństwo, duchowny i świecki. Czy są to jedyne dostępne sposoby mówienia o Kościele, adekwatne do Boskiego pomysłu na organizację wspólnoty wierzących? Wykonując prosty eksperyment myślowy, możemy dojść do przekonania, że gdyby Objawienie miało miejsce dzisiaj, z pewnością inne skojarzenia, tropy myślowe i sposoby rozumowania organizowałyby model zarządzania powstającego ludu Bożego. **Wielowiekowa tradycja pewnego sposobu widzenia nie jest wystarczającym argumentem za jego niezmienną słuszością ani nie świadczy o jego wyłącznym boskim pochodzeniu.**

57 W nowej wizji biskup musi zatem pozostać ważnym, ale nie jedynym i nie centralnym punktem odniesienia dla swoich diecezjan. Nawet jeżeli chcielibyśmy widzieć w biskupie lidera czy kierującego wspólnotą, to można opisać jego rolę według nowoczesnego paradygmatu przywództwa, bez odwoływania się do kategorii opartych na przymusie, podległości i systemie nakazowo-kontrolnym. Paradoksalnie, **odejście od modelu przemocowego może przywrócić biskupowi realną władzę**, którą często myli się z faktem posiadania środków dyscyplinujących. Za ich pomocą można co prawda stworzyć złudzenie doskonale działającej organizacji, ale w dalszej perspektywie niechybnie czeka ją degeneracja i upadek, gdyż towarzyszy im reakcja obronna podwładnych w postaci oporu, buntu, ignorowania nakazów albo przeciwnie: uległości, bezradności czy lizusostwa. Kiedy biskup sądzi, że panuje nad sytuacją, w rzeczywistości zmusza tylko osoby od siebie zależne do gry, w której stawką jest zadowolenie hierarchy, a nie dobrostan wspólnoty, nie mówiąc już o jej rozwoju. To jest najprostsze wytłumaczenie, dlaczego pomimo papierowych triumfów kolejnych programów duszpasterskich, oficjalnego sukcesu katechezy szkolnej i mnogości diecezjalnych inicjatyw ubywa młodzieży, zmniejsza się liczba zawieranych małżeństw, a seminaria świecą pustkami.

58 Biskup-władca zamiast sprawować władzę w rzeczywistości musi sam wszystkiego dopilnować albo większość kwestii „puścić na żywioł”, gdyż nie może liczyć na uczciwe informacje zwrotne, nie może korzystać z wiedzy, doświadczeń i umiejętności wspólnoty, a także oczekiwać owocnych innowacji. Jest wręcz zmuszony do działania w myśl zasady, że „biskup ma zawsze rację, a jak nie ma, to patrz punkt pierwszy”, bo ponosi wyłączną, jednoosobową odpowiedzialność za diecezję. Receptą może być przejście od relacji przemocowej do partnerskiej, która zakłada m.in. wspólne analizowanie i rozwiązywanie problemów, delegowanie odpowiedzialności, eliminację strachu przed mówieniem prawdy, asertywną komunikację, poszukiwanie ochotników, motywowanie wartością czekających zadań, pozostawienie maksymalnej wolności wyboru w zakresie sposobu zaangażowania, rezygnację z ręcznego sterowania i nadmiernej kontroli. Partnerstwo nie oznacza jednak odstąpienia przez biskupa od zarządzania diecezją, sprawdzania efektów pracy podwładnych czy przejęcia sterów w razie jakiegoś kryzysu.

59 Poza taką partycypacyjną (wziętą z teorii kierowania zespołami ludzkimi) koncepcją biskupstwa, jaką – wydaje się – proponuje papież Franciszek, mającą ogromny potencjał pozytywnych zmian, przy czym w dużej mierze konserwatywną, bo biskup postrzegany jest w niej ciągle jako szef, można też mówić o innym modelu władzy. Można go opisać jako sprawowanie pieczy, opieki, służenie pomocą, radą, inspiracją, towarzyszeniem, łagodzeniem sporów, prowadzeniem ku jednomyślności. Ordynariusz diecezji miałby stanowić dla wiernych faktyczne wsparcie w rozwoju duchowym, być dla nich źródłem motywacji, orędownikiem samodzielności w myśleniu i działaniu oraz obrońcą niezawisłości ich sumień. Chodziłoby zatem o **odejście od roli dyrektywnej, która wyraża się w zdaniu „co należy robić”, do postawy postulatywnej, która streszcza się w komunikacie „co można zrobić”**. Podstawą tak rozumianej władzy jest nawiązanie i pogłębianie rzeczywistych (niezapośredniczonych przez instytucje, media, proboszczów) relacji z powierzonymi sobie wiernymi. Wymaga to prowadzenia nieustannego dialogu, co z kolei pociąga za sobą konieczność zredukowania innych – administracyjnych, kontrolnych, ekonomicznych, reprezentacyjnych – obowiązków biskupa.

60 Dodatkowym efektem powyższej zmiany ma być także poznanie diecezjan, ich sytuacji życiowej, potrzeb, aspiracji, duchowości i pobożności, aby odpowiedzialnie reprezentować ich wobec Kościoła powszechnego. Należałoby bowiem odejść od obecnego systemu, w którym biskup w Watykanie występuje zasadniczo we własnym imieniu, będąc wyrazicielem tylko lub przede wszystkim osobistych opinii, i w twórczy sposób nawiązać do starożytnych tradycji, kiedy *episkopos* bywał posyłany do metropolii lub na sobór jako pełnomocny przedstawiciel lokalnego Kościoła, aby ogłosić stanowisko wspólnoty. W tym ujęciu **biskup byłby kimś w rodzaju ambasadora Kościoła partykularnego**, wyposażonym przez niego w mandat do wygłoszenia określonego poglądu, oddania głosu, opowiedzenia się za konkretnym rozwiązaniem itp. Naturalnie nie chodzi o to, żeby został „zakładnikiem” własnych diecezjan, gdyż prezentowane przez niego stanowisko musiałoby zostać wypracowane – a zatem podzielane także przez biskupa – w toku synodalnej procedury, o której była mowa wcześniej.

61 Można zatem spróbować opisać profil osobowościowy kandydata do pełnienia tak określonej roli. Z pewnością musi to być ktoś, kto charakteryzuje się wysoką empatią, wrażliwością, łagodnością, pokojowym usposobieniem, nastawieniem na jednoczenie, budowanie porozumienia. To ktoś, kto już dał się poznać ze swojej skromności, inkluzywnego języka, odmowy specjalnego traktowania, niechęci do celebry, odwagi stawania w obronie słabszych, wolności od toksycznego przywiązania do spraw materialnych, jako wróg banału, rutyny i przyzwyczajęń. Cechuje go otwartość na nowe inicjatywy, odmienne opinie, oryginalne pomysły, nienormatywne zachowania. Przebywa w świecie swoich diecezjan, dzieli z nimi ich doświadczenia, jest im bliski. Nie musi być typem erudyty i mędrca, lecz pozostaje w kontakcie z rzeczywistością, jest jej życzliwy, nadąża za zmianami, jest „na bieżąco” z nowymi osiągnięciami nauki, zdobyczami humanistyki, postępem

społecznym. Jednym słowem to ktoś, kto **ma zdolności do budowania wspólnoty, bo *ecclesia* znaczy „zgromadzenie”**.

Diecezja po nowemu

62 **Nie ma innego sposobu na pielęgnowanie relacji niż spotkanie.** Aby kontakt z biskupem zasługiwał na to miano, trzeba na nowo przemyśleć zarówno koncepcję diecezji, funkcjonowania w niej ordynariusza i roli świeckich. W polskiej rzeczywistości wierny w praktyce nie ma możliwości, aby porozmawiać ze swoim biskupem, a jedyną możliwością, aby choć go zobaczyć z pewnej odległości, jest odbywana co kilka lat „wizytacja parafii”. Dochodzi do takich sytuacji, że jeżeli biskup miejsca nie jest medialną gwiazdą lub bohaterem skandalu, to diecezjanie mają trudność, aby przypomnieć sobie jego nazwisko (bo w liturgii wspomina się tylko jego imię). Powodem jest fakt, że wierny „poznaje” swojego biskupa jedynie za pośrednictwem suchego komunikatu o jego powołaniu, drętwych listów pasterskich i okrągłych kazań. Biskup z kolei „zna” swoich diecezjan wyłącznie na podstawie statystyk, wyjątkowych przypadków wymagających jego interwencji i czegoś na kształt wierno-poddańczych akademii, gdy „zaszczyci swoją obecnością” jakieś miejsce lub wydarzenie.

63 Istnieje kilka przeszkód uniemożliwiających realne spotkanie. Pierwszą jest wielkość diecezji. Trudno mieć pretensje do biskupa o brak bliskości, gdy liczba diecezjan oscyluje wokół miliona. Siłą rzeczy diecezja jest zbudowana wówczas jak quasi-państwo z jego biurokracją, szkolnictwem i sądownictwem, a biskup łączący w sobie wszystkie władze spędza czas w gabinecie otoczony urzędnikami. Tymczasem można sobie wyobrazić (idąc tu za myślą ks. dr. Grzegorza Strzelczyka) **dużo mniej liczne diecezje, gdzie biskup uwolniony od większości tego typu obowiązków przez oddanie ich do metropolii zyskuje możliwości wyjścia do ludzi, przebywania z nimi** i – posługując się metaforą Franciszka – „poczucia ich zapachu”. Mając na względzie kurczącą się liczbę prezbiterów i wiernych, która to tendencja już teraz zmusza do łączenia parafii, można pójść jeszcze dalej i zastanowić się, czy w takim stanie rzeczy także urząd proboszcza (przy wprowadzeniu podziału na takie mikrodiecezje, które *notabene* nie są czymś nieznanym Kościołowi) nie wymaga weryfikacji lub po prostu likwidacji w procesie maksymalnego upraszczania i „spłaszczania” struktury Kościoła lokalnego. Czy naśladowanie Jezusa nie mogłoby też dotyczyć stylu życia biskupa, który podobnie jak Chrystus nie miałby „miejsca, gdzie by głowę mógł oprzeć”, nieustannie wędrowałby od parafii do parafii, dzielił ze swoimi wiernymi warunki życia i liczył wyłącznie na ich łaskę?

64 Drugą przeszkodą jest rozumienie swojej roli przez samych biskupów, przy czym nie chodzi tylko o kwestie teologiczne, ale jak najbardziej praktyczne. Można bowiem odnieść wrażenie, że szlachetna misja kierowania, nauczania i uświęcania sprowadza się dla wielu do przewodniczenia różnego rodzaju religijnym rytuałom. Zaobserwować można przy tym jakąś szczególną – dziecięcą,

chciałoby się powiedzieć – bezradność, jeśli hierarcha jest nagle zmuszony wyjść ze swojej symbolicznej roli, gdy ktoś wyłamie się z wygodnej konwencji, dziennikarz sformułuje niewygodne pytanie lub niespodziewanie spotka się z odmową publicznego poświęcenia miejsca, do którego został zaproszony. Tymczasem **czekamy na biskupa, który nie będzie najważniejszą osobą wydarzenia, gościem specjalnym, centrum zainteresowania**. Na kogoś, kto „traci czas”, robiąc zakupy, jadąc autobusem, stojąc przy grillu, słuchając muzyki, śmiejąc się na równi z innymi. Autorytet ordynariusza wzrósłby ogromnie, gdyby kierował, nauczał i uświęcał „wyjęty z kontekstu” sprawowanego urzędu, zwyczajowej roli, bezpiecznego dla siebie otoczenia, ceremonialnej powagi, niepotrzebnie narzuconego sobie przymusu zachowywania nobliwego chłodu. Pouczające są w tej sprawie przykłady duchownych, którzy porzucają przewagę „własnego boiska” i idą w niekomfortowy dla nich świat festiwali muzycznych, squatów czy noclegowni.

Nowy język

65 Trzecią przeszkodą jest język, jakiego sami biskupi używają w stosunku do siebie i jakiego (choćby bezwiednie) oczekują od innych. To komunikaty, które wytwarzają i konserwują dystans, obcość, nierówność stron, wyniosłość hierarchów. Nie można oczywiście abstrahować od tego rodzaju duchowości – wcale nie tak rzadko spotykanej – która potrzebuje do przeżycia *sacrum*, doświadczenia obecności Chrystusa, „poczucia” jedności Kościoła, specjalnego, „królewskiego” traktowania biskupa, ale nie można również przejść obojętnie wobec szkód, jakie owa postawa powoduje u wiernych (wzmacnianie uległej, biernej, bezkrytycznej, niewolniczej w gruncie rzeczy postawy wobec ordynariusza), a także u samych hierarchów (nasilanie „przemocogennych” tendencji narcystycznych, które karmi się symbolami wyższości, przewagi, elitarności). Jeśli weźmiemy na poważnie tezę Ludwiga Wittgensteina, że „granice języka wyznaczają granice świata”, staje się jasne, że to właśnie **język komunikacji nie pozwala wyzwolić się Kościołowi w Polsce z powszechnie w nim panującej kultury folwarcznej**.

66 Czyż to nie Jezus ostrzegał, jakie niebezpieczeństwo czai się za nazywaniem jeden drugiego „ojcem”, „mistrzem” czy „nauczycielem”? Przy czym nie chodzi o to, że te słowa zostały zakazane albo że w magiczny sposób ich pozbycie się z kościelnego słownika natychmiast uzdrowi sytuację. Pytaniem jest, czy taka rozbudowana, arystokratyczna tytulatura (arcybiskup, eksceleńcja, eminencja itd.) oraz przyjęte zwroty honorowe (dostojny, czcigodny, wielebny itp.) nadal służą pogłębianiu wiary i umacnianiu więzi z biskupem, czy też im szkodzą. Nic przecież nie stoi na przeszkodzie, aby wyraźnie zaznaczyć, że stanowią jedynie ślad historii i choć ich używanie jest dopuszczalne, to tylko jako opcja. Argument, że stosowanie tych tradycyjnych godności jest wyrazem kultury i uprzejmości, nie wytrzymuje konfrontacji z faktem, że kurtuazja jest narzędziem dyplomacji, które tylko symuluje istnienie dobrych relacji między partnerami. A nam, chrześcijanom, chodzi przede wszystkim o prawdziwe i życzliwe relacje. Niewiele rzeczy tak dobrze im

służy, jak zwracanie się po imieniu, które przecież jest znakiem włączenia w Kościół, wyróżnikiem ucznia Chrystusa. Zwrot „biskupie Marku, Stanisławie, Wojciechu” czy po prostu „Marku”, „Stanisławie”, „Wojciechu” nie ujmuje nic godności, a jednocześnie wyraża wiarę, że jesteśmy rodzeństwem poprzez chrzest.

67 Rewizja powinna dotyczyć także innych nawyków językowych. Do najbardziej jaskrawych przykładów należą takie sformułowania jak „wyniesienie do godności biskupiej” oraz symetryczne wobec niego „redukcja do stanu świeckiego”. Bez względu na rodzaj szpagatu intelektualnego, jaki zastosujemy, aby bronić tych zwrotów, nie da się zaprzeczyć, że konserwują istniejący *de facto* podział stanowy (w feudalnym znaczeniu) wraz z realnymi i ściśle określonymi przywilejami i obowiązkami. Feudalny, czyli rdzeniowo nierównościowy, niesprawiedliwy i krzywdzący charakter tej społeczności stanowej polega na tym, że istnieje zewnętrzna wobec osobistych zdolności, zasług i determinacji jednostki hierarchia, przy czym im bliżej szczytu tej hierarchii, tym przywilejów (zgoda, obowiązków też) więcej. Dodać trzeba, przywilejów także, *par excellence*, doczesnych. Tymczasem, jeśli Kościół ma być sakramentem, czyli znakiem i narzędziem zjednoczenia z Bogiem i jednością całego rodzaju ludzkiego, to **ziemskie przejawy Eklezji muszą adekwatnie, praktycznie i skutecznie odzwierciedlać konstytutywną dla Królestwa Bożego równość jego członków**. Nie da się bowiem głosić i urzeczywistniać równości w porządku łaski, ignorując ją w porządku doczesnym.

68 Objawy tej choroby są czasem bardzo subtelne, co nie znaczy, że mniej niebezpieczne. Wymowną ilustracją jest instrukcja Kongregacji ds. Duchowieństwa (*sic!*) *Nawrócenie duszpasterskie wspólnoty parafialnej w służbie misji ewangelizacyjnej Kościoła* z dnia 29 czerwca 2020 r., ujawniająca drugorzędne (najdelikatniej mówiąc) miejsce i ważność świeckich w myśleniu starszych Kościoła, co szczególnie dotkliwe w dokumencie o podstawowym dla świeckich znaczeniu, bo traktującym o najważniejszym dla nich miejscu życia eklezjalnego. Katolicy świeccy zatem mogą odnaleźć się dopiero w p. 7 (a prezbiterzy już w p. 1), lecz ukryci w pojęciu szerszym, czyli ludzie Bożym. Wprost nazwani zostają jednak dopiero w p. 13, ale na drugim miejscu za kapłanami. Po raz pierwszy jako podmiot a nie przedmiot działania jeszcze dalej, bo w p. 28, gdy mowa o charyzmatkach służących budowie jedności parafii. Fragment dotyczący świeckich bezpośrednio to dopiero podrozdział VIIIg (p. 85, 86).

69 Argument, że taka struktura dokumentu nie wynika z lekceważenia świeckich, nie jest przekonujący wobec faktu, iż **dosłownie każda oficjalna (i prawie każda nieoficjalna) wypowiedź przedstawicieli Kościoła hierarchicznego zawiera ten sam schemat, w którym świeccy zostają zepchnięci na margines**. Nawet jeśliby przyjąć, że taka kompozycja instrukcji nie oddaje gradacji ważności poszczególnych zagadnień, a jedynie odzwierciedla określoną logikę wywodu, to powtarzalność, rutynowość, a nawet uporczywość takiego ujmowania spraw też powinna dawać do myślenia. Konstrukcja wypowiedzi ujawnia bowiem ukryte (także przed samym autorem) tezy, nawykowe sposoby myślenia, utarte ścieżki

poznawcze, a nawet proste uprzedzenia. Często utajnione, bo sprzeczne z wartościami i prawdami deklarowanymi przez autora wypowiedzi.

70 Co można zatem pomyśleć o rozumowaniu autorów tekstu, którzy wymieniając osoby tworzące parafię, podają następującą kolejność (p. 28): „proboszcz, prezbiter, diakon, osoba konsekrowana, świecki” (zostaje ona powtórzona w podobnej formie – „kapłani, diakoni, osoby konsekrowane i świeccy” – w p. 112 jako „cała wspólnota” reprezentowana w radzie parafialnej). W p. 60 w tej samej kolejności można poznać „wszystkich członków ludu Bożego: duchownych, osoby konsekrowane i wiernych świeckich”. Także owocne działanie w parafii zakłada „współpracę między prezbiterami, diakonami, osobami konsekrowanymi i świeckimi”. Nawet jeśliby przyjąć, że chodzi tu tylko o protokolarny porządek pierwszeństwa, to trzeba pamiętać, że precedencję stosuje się w dyplomacji właśnie w celu podkreślenia faktycznej ważności osoby wynikającej z obiektywnej pozycji wyznaczonej zajmowanym stanowiskiem lub pełnioną rolą. Precedencja wywodzi się ze zwyczajów dworskich. To nie jest przypadek. To wgląd w myślenie.

71 Podobnie nie są neutralne powszechnie stosowane w wypowiedziach Kościoła metafory, a wśród nich na pierwszym miejscu metafora pasterza. Figura strażnika stada powstała tysiące lat temu w zupełnie innej sytuacji społecznej, niż używa się jej dzisiaj, wobec czego straciła swoje pierwotne znaczenie. **Metafora, którą trzeba wciąż tłumaczyć, jest zbędna, co więcej, szkodliwa, bo bywa źle rozumiana.** Co pojmuje z niej przeciętny wierny? Jego wyobrażenia oscylują najwyżej między cikliwym obrazem romantycznego indywidualisty opiekującego się swoimi puszystymi przyjaciółmi (taki Janosik z owcą na ramionach) a zapitego juhasa okładającego kijem swoje bezmyślne owce przy zaganianiu do śmierdzącej obory (cynik „golący” naiwne owieczki). To nie są złośliwości ani zmyślenia, lecz cytaty z popularnej ikonografii kościelnej oraz codziennej narracji antykościelnej.

72 Chodzi o to, że popularne wyobrażenia o kościelnej koncepcji relacji kleru do świeckich nie biorą się tylko z bezpośrednich doświadczeń (a więc zmiana tych doświadczeń nie jest wystarczającym sposobem na przeobrażenie tego paradygmatu), a już na pewno nie ze znajomości teologii i eklezjologii, ale przede wszystkim z języka, którym Kościół się posługuje, zarówno w nauczaniu zwykłym, jak i urzędowym. Z szacunku do biskupów nie można inaczej niż fatalnym nawykiem wytłumaczyć, **dlaczego w społeczeństwie demokratycznym, liberalnym i cyfrowym wciąż najlepszą metaforą opisującą oczekiwane relacje międzyludzkie w Kościele jest właściciel trzody.** Zrozumiałe jest przywiązanie do obrazów biblijnych, czyli języka, którym posługiwał się sam Jezus, ale dlaczego równie popularne nie stały się (w tym kontekście wyjątkowo pożyteczne) biblijne metafory starych bukłaków i ubrań lub nawiązania do relacji rodzinnych, również obecnych w nauczaniu Zbawiciela?

73 Należy nieustannie namawiać i apelować o zmianę języka, a pierwszą i najważniejszą zmianą powinno być **odejście od niewypowiedzianego, lecz stale obecnego i upokarzającego świeckich porównania do sympatycznych, ale nie-**

rozgarniętych zwierząt gospodarskich. Odesłanie do szlachetnej przeszłości pojęć pasterz, duszpasterz, duszpasterstwo (a przynajmniej wprowadzenie jakiejś alternatywnej terminologii z pełną świadomością, że każda będzie ułomna). Upokarzać językiem można niezależnie od intencji, a nawet wbrew intencjom. Klasycznym, też niestety kościelnym, przykładem jest pozorne dowartościowanie kobiet za pomocą określenia „geniusz kobiety”, którego jednak rozwinięcie polega na wyliczeniu cech faktycznie sytuujących je w pozycji podległości i pomocniczości (opiekuńczość, cierpliwość, gotowość).

74 Przeszkodą w komunikacji jest nie tylko to, jakich słów biskupi/duchowni używają, ale też jak i dlaczego to robią. Dobrze byłoby, gdyby przestali przemawiać, a zaczęli rozmawiać, porzucili protekcyjny i mentorski ton na rzecz przyjacielskiego i empatycznego, odstąpili od prób tłumaczenia nam świata, który doskonale znamy i rozumiemy, potraktowali nas poważnie i po partnersku, a nie jak dzieci, które należy strofować i je umoralniać, nie usprawiedliwiali własnego lenistwa i niechęci do duchowego rozwoju rzekomą potrzebą „nieustannego powtarzania podstawowych prawd”, nie wzbudzali lub nie umacniali braku zaufania do współczesnych osiągnięć nauki, zidentyfikowali własne lęki i nie wykorzystywali ambony do ich tłumienia, zrezygnowali z infantylnego stylu głoszenia Słowa pełnego banalnych porównań, anegdotycznej argumentacji, emocjonalnego szantażu, budowania poczucia winy, lukrowanych „przykładów z życia”, tandetnej modulacji głosu.

75 Język to także każdy inny, niewerbalny komunikat. Biskupowi mogą przeszkadzać lub pomagać w relacji z wiernymi jego gesty, stroje i zwyczaje. Niewątpliwie zamieszkiwanie w okazałych pałacach, otaczanie się kurialistami, urzędnicza maniera, „udzielanie audiencji”, brak sprawnych kanałów przepływu informacji, przewlekłość i zawłość procedur budują wysokie mury. Podobnie dysponowanie limuzyną z kierowcą, zastępem osób zaspokajających wszelkie, nawet najbardziej przyziemne potrzeby hierarchy, brak oporu przed przyjmowaniem (zarówno symbolicznych, jak i materialnych) wyrazów wdzięczności, uznania, uległości, zachwyty i bezkrytycznego posłuszeństwa. Wymagania liturgiczne i symbolika mają swoje znaczenie, ale **nie każde spotkanie z biskupem musi oznaczać ukrywanie się za symbolami władzy** w postaci lamowanej sutanny z pasem, pastorału, mitry, rókietu, mucetu, paliusza, pektorału, pierścienia (zgodnie z ostrzeżeniem Jezusa „rozszerzają swoje filakterie i wydłużają frędzle u płaszców”, „z upodobaniem chodzą oni w powłóczystych szatach”). Można też spokojnie zrezygnować z budowanej przez hierarchów wokół siebie szczególnego rodzaju atmosfery przepychu, majestatu, powagi, splendoru i celebry („lubią zaszczytne miejsca na ucztach i pierwsze krzesła w synagogach”, „lubią pozdrowienia na rynku”), które sprawiają, że większość wiernych (nawet osoby wykształcone, asertywne, dynamiczne, otwarte i stanowcze w życiu prywatnym) traci w obecności biskupa pewność siebie, zdolność wyrażenia krytycznej opinii, ścisza głos, pochyla głowę, staje się uniżenie uprzejma i dziecięco zawstydzona.

76 Czwartą przeszkodą utrudniającą realne spotkanie biskupa z diecezjami jest pozbawienie zwykłych wiernych udziału w procesach decyzyjnych, wykonawczych i kontrolnych. W tym miejscu nie chodzi już tylko o upodmiotowienie, dowartościowanie i zaangażowanie w odpowiedzialność świeckich za Kościół, lecz o istotę pełnienia funkcji biskupa. W jaki inny sposób ordynariusz ma poznawać powierzone sobie osoby, sprawy diecezji, bolączki i potrzeby lokalnego Kościoła, jak nie współpracując ze świeckimi na partnerskich zasadach w każdej dziedzinie składającej się na sprawowanie władzy? **Obecny model ma tę wadę, że wiedza biskupa pochodzi z nielicznych i zazwyczaj zależnych od niego źródeł**, przefiltrowana jest więc dodatkowo przez sito osobistych interesów, lęków przed reakcją przełożonego, zawiści wobec lepiej prosperujących kolegów-duchownych oraz fantazji na temat oczekiwań hierarchii. Co równie ważne, także jego decyzje odbywają podobną, tyle że odwrotną drogę, przechodząc przez pryzmaty różnorodnych zależności, zainteresowań, zdolności i uwarunkowań.

77 Dobrą ilustracją jest katecheza. Pomińmy entuzjazm biskupów spowodowany jej powrotem w mury szkolne, przez wiele lat mogli odczuwać satysfakcję z powodu oficjalnych statystyk. Ponieważ jednym głosem mówili o dziejowej sprawiedliwości i sukcesie duszpasterskim, który z katechetów miał szansę przebić się przez mur samozadowolenia przełożonego i obrońców dodatkowych dochodów, informując go, że w dużym stopniu, niezależnie od wysiłków i talentów nauczycielskich, taka forma ewangelizacji jest nieskuteczna, fasadowa, szkodzi powadze Kościoła, a jednocześnie odrywa młodych od parafii? Który z wikarych odważył się przyznać biskupowi do porażki pedagogicznej, braku zdolności dotarcia do młodzieży zmuszanej do obecności na katechezie, napadów paniki i epizodów depresyjnych wynikających z obowiązków szkolnych? Który z proboszczów poskarżył się ordynariuszowi, że „duszpasterska para idzie w gwizdek” w zespole szkół zawodowych, gdzie bardziej niż wątlęgo wikarego-intelektualisty potrzeba postawnego absolwenta resocjalizacji? Ewentualne trudności łatwiej było tłumaczyć laicyzacją świata, upadkiem rodziny i wrogami Kościoła.

78 W takiej sytuacji, kiedy katechizacja szkolna jest bez względu na wszystko sukcesem, wykonawcy polecenia biskupów mają wiele możliwości, aby przełożeni – również bez względu na fakty – poczuli się usatysfakcjonowani. Najpopularniejszą strategią wydaje się skrupulatne, ale mechaniczne realizowanie programu nauczania. Przeciwną jest formalne „odfajkowywanie” wymaganych tematów na lekcjach, podczas których dzieje się zupełnie coś innego (daj Boże rozmowy na tematy interesujące uczniów, bo przecież jest też opcja projekcji religijnych filmów). Frekwencję łatwo zapewnić, czyniąc ją dla ucznia warunkiem przystąpienia do sakramentów, dla rodzica wydania zaświadczenia koniecznego do pełnienia roli chrzestnego, a dla obu braku przykrych rozmów przy okazji kolędy lub wizyty w kancelarii parafialnej. Proboszcz również zawsze wyjdzie obronną ręką, gdyż

79 pomimo wszystko znajdzie się paru uczniów, którymi można pochwalić się przed biskupem, wyolbrzymiając swój sukces poprzez wskazanie na trudne środowisko pracy duszpasterskiej.

79 Dopiero masowe wypisywanie się z tych zajęć uświadomiło biskupom rangę problemu. Niestety rozpoznanie jego natury i wybór środków zaradczych pozostały ofiarami klerykalizmu. Nie pytając najbardziej zainteresowanych (młodzieży i rodziców), przyjęto w kręgu najwyższych duchownych (co warto podkreślić, tych którzy nie mają osobistego doświadczenia) za aksjomat, że katecheza w szkole jest konieczna i pożyteczna, chyba jedynie na takiej nieco infantylnej zasadzie, że „mówienie o Bogu” zawsze jest dobre (prestżowych i merkantylnych powodów wstyd się domyślać). Bez żadnej publicznej debaty uznano, że młodzież odchodzi od Kościoła, gdyż księża mają jeszcze za mało okazji do jej formowania, więc ustalono, iż do lekcji religii w szkole należy dołożyć katechezę przy parafii. Znając obecną jakość katechezy homiletycznej oraz pamiętając formułę katechizacji przy-parafialnej, można mieć pewność, że w ogromnej większości (wbrew szumnym zapowiedziom pojawienia się jakościowej różnicy) będzie to kolejna „lekcja religii”, tym bardziej, że będą ją prowadzili ci sami ludzie, co w szkole. Zastosowano więc kolejny raz tę samą, samobójczą strategię: „jeszcze więcej tego samego”. Zabrakło etapu rozeznawania.

80 Tymczasem wystarczyło zapytać samą młodzież, czego się spodziewa, czego oczekuje i czego potrzebuje ze strony duchownych. Przy tym nie chodzi o to, aby negocjować z nią treść nauczania Kościoła, lecz dostosować do odbiorców sposób, tempo i środki ewangelizacji. Zapytać rodziców, jaka organizacja katechizacji byłaby z ich punktu widzenia optymalna. Zasięgnąć języka wśród katechetów, co stanowi największą trudność w ich pracy, a gdzie leżą dotychczas niewykorzystane zasoby. Skonsultować się z zawodowymi pedagogami, psychologami i terapeutami. Zorganizować spotkanie wszystkich zainteresowanych i wysłuchać każdej opinii. Wyłonić przedstawicieli każdej z grup, którzy zajęliby się opracowaniem propozycji rozwiązań. Uzgodnić kierunek zmian, który uwzględniałby wszystkie zgłoszone wcześniej potrzeby. Powołać komitet sterujący, który odpowiadałby za wdrożenie reformy. Ustanowić komisję mającą za zadanie ocenić stopień wdrożenia zmian, ich efekty i przekazać swoje spostrzeżenia walnemu zgromadzeniu interesariuszy. Synodalność w działaniu.

81 A gdzie tu miejsce dla biskupa – i szerzej – duchownych? Choć ich udział jest oczywiście nieodzowny, to wcale nie musi mieć charakteru kierowniczego; ich obecność będzie wystarczająco owocna, gdy zajmą stanowiska jako eksperci. Jednakże **biskup miałby funkcję wyjątkową, powinien bowiem stać się strażnikiem synodalności**, którą rozumiemy jako wspólne podążanie w kierunku, który wyznacza Duch Święty. Zadaniem biskupa nie byłoby decydowanie, co Duch Święty mówi, które opinie wyrażają Jego natchnienia, lecz przede wszystkim pilnowanie, aby nie zamykać Mu ust wykluczeniem z dyskusji niektórych osób, pochopnym odrzuceniem oryginalnych stanowisk, niechęcią wobec zmian, tłumieniem wolności

wypowiedzi, przypisywaniem złych intencji itp. Ponadto takie uczestnictwo w podejmowaniu decyzji (rozeznawaniu), które służyłoby osiągnięciu jednomysłności lub zachowaniu jedności w przypadku, gdy jednomysłność byłaby niemożliwa.

82 Krytycy takiego podejścia przytaczają ważki argument, że Jezus nie pozostawił sugestii, aby Kościół miał być kierowany kolegialnie, natomiast z Jego wypowiedzi wynika wyraźnie, że biskupi, jako następcy apostołów, otrzymali władzę o charakterze osobistym i bezpośrednim. Nie można jednak abstrahować od faktu, że chodzi tu o nauczanie Jezusa zakończone Wniebowstąpieniem, dopiero po którym nastąpiło Zesłanie Ducha Świętego, czyli początek epoki bez barier między ludźmi, absolutnej równości i braterstwa. Zauważyć również trzeba, że sami apostołowie, nie wyrzekając się przecież misji otrzymanej od Jezusa, nie mieli oporów, aby – natchnieni przez wydarzenia Pięćdziesiątnicy – wspólnie podejmować decyzje mające znaczenie dla całego Kościoła. Świadomość synodalna istniała więc od początku, przy czym miała zastosowanie tylko do zgromadzenia biskupów. Jednak Duch Święty nie przestał do Kościoła mówić, a teraz docierają do nas znaki, że wolno myśleć o synodalności jako zwykłym sposobie działania Kościoła oraz że można włączyć w nie świeckich. Zresztą to coś więcej niż znaki, to rodząca się świadomość, że **sprawowanie władzy wyłącznie przez osoby wyświęcone nie tylko sprawia, że Kościół stacza się z kryzysem, ale zaprzecza samej swojej istocie, czyli przestaje być znakiem zjednoczenia.**

Zaprosić Boga do Kościoła

83 Najbardziej chyba radykalną tezę Tomasza Polaka wyrażoną w książce *System kościelny, czyli przewagi pana K.*, jest wskazanie na ateistyczne jądro instytucji Kościoła. Jeśli jednak damy sobie trochę czasu na ochłonięcie z oburzenia i rezygnację z naturalnej reakcji obronnej na tak obrazoburczą wypowiedź, to może nie odmówimy autorowi przynajmniej ciekawej intuicji. Wierzmy w „jeden, święty, powszechny i apostołski Kościół”, którego głową jest Chrystus, ale nie jest przedmiotem wiary system, w którym kościelna arystokracja uzurpuje sobie wyłączne prawo do przemawiania w Jego imieniu, władania sumieniami pozostałych członków Kościoła oraz decydowania o wszystkich istotnych dla wspólnoty wierzących sprawach. Chodzi bowiem o to, że niezależnie od faktu ufundowania Eklezji na słowach i czynach Jezusa, stałej obecności Ducha Świętego i nieprzebranej rzeszy świętych chrześcijan jedyną nienaruszalną obietnicą wobec Kościoła jest to, że nie ulegnie zniszczeniu. Nie ma tu nic o ludzkich, choćby mających szlachetną i wielowiekową tradycję, pomysłach na jego doczesną strukturę, zasady w niej obowiązujące i rozumienie woli Boga.

84 Powyższe nie oznacza automatycznie, że obecny ziemski kształt Kościoła jest kompletnym nieporozumieniem, całkowitą pomyłką, sektą czy wręcz organizacją przestępczą (żeby odwołać się do popularnej krytyki). Pokazuje jednak, że z całą pewnością zawiera w sobie nieporozumienia i pomyłki oraz cechy sekt i orga-

nizacji przestępczych, czyli atrybuty absolutnie Bogu obce. Można pójść nawet dalej i zaryzykować twierdzenie, że nawet u podstawy gmachu Kościoła (w jądrze) znajdują się rzekomo niedyskutowalne kwestie, takie jak monowładza biskupa, które determinują obecność tych szkodliwych elementów (dążenie do uniezależnienia się od uznawanych przez społeczeństwo czynników kontroli charakteryzuje sekty). Piszemy o fundamentach, gdyż zwolennicy współczesnego kształtu instytucji (a w kształt instytucji wchodzi konstytutywne dla niej tezy) uważają, że zmiana nauczania w tym zakresie będzie skutkowałą upadkiem Kościoła. Skoro zatem węzłowym zagadnieniem ma być nieredukowalna różnica między duchownym a świeckim, a z pewnością nie wynika to z jednoznacznego ustanowienia Boskiego, to może Tomasz Polak ma trochę racji. Pytanie tylko, czy rzeczywiście jest to fundament Kościoła czy tylko jego błędnego wyobrażenia.

85 Pytanie o realną (a nie tylko teologiczną) obecność Boga w Kościele takim, jakim znamy Go dziś, nie jest zatem żadną prowokacją, lecz zadaniem obowiązkowym, może nawet najważniejszym. **Musi być bowiem coś bezbożnego w systemie, który nie tylko nie wyklucza, ale jeszcze premiuje najwyższymi zaszczytami osoby nie dość że doszczętnie zepsute moralnie, to jeszcze w oczywisty sposób niewierzące** (wszem i wobec okazywana pobożność, a nawet wewnętrzna religijna pewność nie chroni przed popadnięciem w cyniczną bezideowość). Doprowadzając zagadnienie do ostateczności, można zasadnie pytać, czy do egzystencji Kościoła w obecnym kształcie w ogóle potrzebne jest istnienie Boga, czy też wystarczy jego idea. Otóż w tych wszystkich miejscach, gdzie z powodu norm kościelnych wierni doświadczają krzywdy i niesprawiedliwości, odmawia się im godności, głosu, sprawczości, prawa do postępowania zgodnie z sumieniem, rzeczywistość organizuje jedynie figura Boga. A zło usprawiedliwiane wołą Boga to przecież czysty diabolizm. Dlatego wołanie o reformy w tych kwestiach to apel o zezwolenie Bogu na prowadzenie Kościoła w kierunku, który tylko On zna, na ryzyko, że Jego pomysł na Kościół nie mieści się w granicach naszej wyobraźni.

86 Na zakończenie należy więc jeszcze zaproponować poważną refleksję nad znaczeniem słowa „świecki”. Zbyt łatwo zadowalamy się słownikową definicją, która wyjaśnia znaczenie tego przymiotnika jako pochodzącego od słowa „świat”. Wówczas otrzymujemy zawężone jego rozumienie w postaci „światowy, związany ze światem, czyli z życiem doczesnym”. Tak właśnie funkcjonuje w języku kościelnym. Tymczasem etymologia rzeczownika „świat” prowadzi nas do prastłowiańskiego słowa, które znaczy „światło”. Zatem „świat”, „światowy”, „świecki” nawiązuje także do tego, co „ujrzało światło”, „wyszło na światło”, „stało się jawnym”. Wobec tego osoba świecka to również „oświecona”, „kompetentna”, „mądra”, czyli w języku religijnym „otwarta na światło Ducha Świętego”, „wrażliwa na tchnienie Ducha Świętego”. Najwyższy zatem czas, aby wyciągnąć praktyczne wnioski z faktu, że **Trzecia Osoba Boska domaga się wysłuchania, przemawiając do serc milionów wiernych świeckich.**

CZĘŚĆ III. POSTULATY

87 W celu nadania praktycznego wymiaru wnioskowi z powyższych rozważań, a przede wszystkim zadośćuczynienia wymaganiom Ewangelii w zakresie funkcjonowania wspólnoty chrześcijańskiej, w tym zbliżenia biskupa do powierzonych sobie wiernych, zwiększenia aktywności świeckich i zapewnienia synodalnego charakteru lokalnego Kościoła, postulujemy:

a **Reorganizację diecezji:**

- zdjęcie z biskupa obowiązków administracyjnych, kontrolnych, ekonomicznych, reprezentacyjnych i innych niewymagających jego zaangażowania,
- powierzanie świeckim stanowisk i funkcji (także kierowniczych) niewymagających święceń,
- redukcję funkcji kurii do zadań organizacyjnych, koordynacyjnych i wykonawczych,
- zwiększenie liczby diecezji (przez podział dotychczasowych) w celu umożliwienia biskupowi nawiązania z wiernymi rzeczywistych relacji.

b **Utworzenie rad diecezjalnych złożonych z przedstawicieli parafii, do których zadań należałyby m.in.:**

- udział w wyborze oraz odwołaniu biskupa,
- podejmowanie strategicznych decyzji duszpasterskich,
- systematyczna ocena sytuacji w diecezji,
- nadzór nad majątkiem diecezji.

c **Opracowanie konstytucji synodalności uwzględniającej:**

- zasady prowadzenia dialogu,
- włączenie świeckich w procesy decyzyjne i kontrolne,
- kolegialność podejmowania decyzji,
- możliwość wypowiedzenia się wszystkich zainteresowanych,
- mechanizmy dążenia do konsensusu.



Kongres Katoliczek i Katolików

Kongres Katoliczek i Katolików
ul. Szczęsna 26, 02-454 Warszawa
biuro@kongreskk.pl
www.kongreskk.pl